



Nr. Książki
2007

Author
Sierosławski, S.

naprzeciw

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z. N. P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszczonek obrazków i kartek.

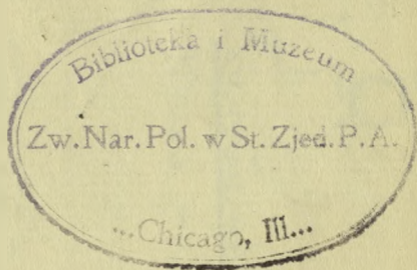
Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.



© 2007

2007



OKNO NAPRZECIW

102

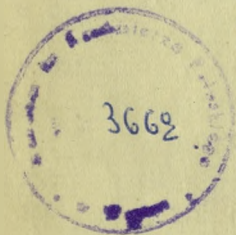
WILLIAM SHAW

STANISŁAW SIEROSŁAWSKI

W C-2007

OKNO NAPRZECIWIW

NOWELLE

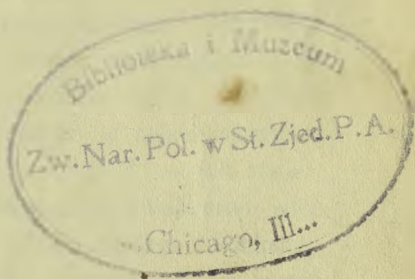


KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA
WARSZAWA: E. WENDE I SP.

1904

WIEŚNIAN DZIEŃ

OKNO NAPRZECIW



— «...Zazdrość widocznie już dawno trawiła jego serce; niepewność, czy dziewczyna wogóle przyjmie jego oświadczenia i zechce wyjść za niego, musiała ustawicznie podniecać rozdrażnienie, w które — jak zeznali mieszkający obok i przyjaciele zabójcy — popadł już od kilku dni. Wczoraj wieczorem spotkał swoją narzeczoną w towarzystwie owego pana na ulicy i chyłkiem, ukrywając się pod ścianami domów, spieszył za nimi. Był uzbrojony w rewolwer, który nabył niedawno, prawdopodobnie w celach samobójczych, w składzie broni p. Z. — jak stwierdził nasz sprawozdawca. Z rewolwerem więc w kieszeni szedł ciągle śladem ukochanej; wreszcie, nie mogąc zapewne dłużej znosić udręczenia, podbiegł ku nim, nacisnął kurek i...»

— I zabił go!?

— Nie... «i zranił dziewczynę w okolicy serca. Kula...» Ale co się panu stało?

Starzec zbladł, ręce drżały mu nerwowo, grube krople potu wystąpiły mu na czoło.

Zajęty czytaniem jakiejś kronikarskiej notatki, od dłuższej chwili nie zwracałem na niego uwagi. Teraz dopiero, gdy przerwał mi wzburzonym zapytaniem, spojrzałem na niego i mimowoli zamilkłem. Nie mogłem pojąć, co zaszło, co spowodowało tę nagłą słabość, czy rozdrażnienie.

— Co panu się stało — powtórzyłem, patrząc na niego ze zdumieniem.

Nie odpowiedział i starał się ukryć pomieszanie; widziałem, jak przymuszał się, aby przezwyciężyć drżenie, wstrząsające jego ciałem.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia.

Wreszcie on przerwał ją i zaczął mówić, siłąc się na spokój.

— Dziwi się pan mojemu rozdrażnieniu? Zapewne.

Próbowałem zaprzeczyć poruszeniem głowy.

— O nie. Widzę to zbyt dobrze i rozumem najzupełniej. Ale tą krótką, odczytaną opowieścią rozdarłeś pan na nowo stare rany, które nigdy nie mogą się zabiżnić.

— Chciej mi pan wierzyć, że nie miałem bynajmniej zamiaru. Gdybym był mógł przypuścić coś podobnego...

— Nie mam żalu do pana. Nie mogłem wiedzieć, że opowiadanie to będzie dla mnie bolesne. Zupełnie przypadkowy zbieg okoliczności.

— Przepraszam raz jeszcze...

— Za co?... I bez takiej zewnętrznej pobudki, same z siebie nieraz wracają te wspomnienia, wiele razy tak mnie dręczą, że nie mogę panować nad sobą.

Nie bez zaciekawienia myślałem o tem, co w tej przeczytanej dopiero co notatce mogło rozdrażnić jego wspomnienia, jaki związek mógł zachodzić między jego życiem a wypadkiem morderstwa z zazdrości, o którym dopiero co czytałem. Jakie tajemnice kryło życie tego spokojnego na pozór człowieka, obojętnego na wszystko, co się działo dokoła. Może kogoś z bliskich sobie utracił w podobny sposób? Może...?

Pytanie cisnęło mi się na usta, ale milczałem, aby mu nie być natrętnym i to jeszcze w takiej chwili, kiedy cała jego istota widocznie cierpiała.

Musiał odgadnąć moje myśli i dociekania, bo zaczął mówić dalej, uspokajając się powoli.

— Oczywiście nie rozumiesz pan mojego wzruszenia. Ale gdybyś znał moje życie, moją młodość, gdybyś wiedział o *tem*, pojąłbyś, co się ze mną działo przed chwilą, kiedy rozbudziłeś dawne wspomnienia. O, to straszne, gdy nagle przeszłość w żywych barwach stanie przed oczy, gdy człowiek nagle przypomni sobie...

Na chwilę przerwał wzruszony.

— Bo z życiem mojem — ciągnął dalej — wiąże się podobny wypadek i nie skłamię, jeżeli powiem, że on właśnie zniszczył i wykrzywił moje życie, zrobił mnie tem, czem jestem dzisiaj: zgnębionym, chorym starcem. Rozumiesz pan zapewne, że wspomnienia takie nie mogą być przyjemne.

— Tembardziej mi przykro, że mimowoli przyczyniłem się do tego.

Patrzyłem na niego z coraz większym zdumieniem.

Nie mogłem przecież przypuścić, aby ten człowiek spokojny i cichy, którego oczy pa-trzyły na świat tak łagodnie, niemal smę-

tnie — aby ten człowiek był zdolny popełnić jakiś czyn gwałtowny. A jednak mówił wyraźnie, że życie jego ukształtowało się wskutek tego postępu. Cóż to być mogło?... Błąkałem się wśród najrozmaitszych przypuszczeń i podejrzeń, ale nie znajdowałem nic, coby choć w części tłómaczyło jego słowa.

— Tak, ta straszna chwila złamała mnie — mówił, budząc się z zamyślenia — na mojem czole wyryła piętno mordercy.

Mimowoli wzdrygnąłem się, nerwowym, nieświadomym ruchem odsunąłem się nieco.

Zauważył to i uśmiechnął się smętnie.

— Nie patrz pan na mnie z takim przerażeniem, to się już dawno stało, bardzo dawno, dzisiaj nie byłbym już zdolny do takiego czynu... Chociaż i dawniej zawsze byłem spokojny, łagodny... A jednak jestem mordercą, zabiłem człowieka.

— To być nie może — zawołałem, kryjąc zakłopotanie i trwogę.

Najchętniej byłbym uciekł przed tym człowiekiem, który tak spokojnie przyznawał: jestem mordercą, zabiłem. Ale nie chciałem okazać mu mojego przestachu, równocze-

śnie zaś ciekawość walczyła z bojaźnią w mem sercu.

— To być nie może — powtórzyłem — nie uwierzę temu nigdy.

— A jednak tak było. Nie słyszałeś pan o tym wypadku, bo się to stało już dawno, prawdopodobnie, zanim jeszcze na świat przyszedłeś, stało się zresztą daleko stąd. Uciekłem tutaj, aby ukryć przed ludźmi piętno zbrodni, wyryte na mojem czole, myślałem, że znajdę tu spokój, zapomnienie... Tak, tak, spokój... Nie znalazłem go i nie znajdę pewnie już nigdy w tem życiu.

— I nie obawiasz się pan powierzyć mi tajemnicę swego życia? — zapytałem, aby cośkolwiek powiedzieć i zgłuszyć to jakieś niemile wrażenie lęku, czy czegoś podobnego, którego ciągle jeszcze doznawałem.

— Czego miałbym się obawiać. Ludzie osądzili mnie i wydali już nademną swoje wyroki; sądu Boga, który zna najskrytsze tajniki serca, najdalsze motywy każdego czynu, lękać się nie potrzebuję. Byłbym może milczał dalej, aby uchronić się przed ciekawemi i pogardliwemi spojrzeniami ludzi, gdyby się dowiedzieli o moich losach. Przy-

padkiem zdradziłem się przed panem. Ale wierzę, że przechowasz pan moją tajemnicę i nie rzucisz jej na łup żadnemu plotek tłumowi, więc dlaczego miałbym się ukrywać. A zresztą może odczujesz pan grozę mojego życia, może, wysłuchawszy mnie, znajdziesz nawet słowo współczucia.

— Będę się starał być uważnym słuchaczem i nie wątpię, że potrafię zrozumieć pańskie uczucia i motywy czynu. A zrozumieć, to przecież znaczy przebaczyć. Zaufania pańskiego z pewnością nie nadużyję.

Ciekawość moja rosła, to też z pewną niecierpliwością przysunąłem się bliżej ku niemu, oczekując tego, co chciał powiedzieć.

— Jestem tu obcym — zaczął mówić po chwili — zresztą już samo nazwisko i akcent mojej mowy najlepiej świadczą o mej narodowości. Tutaj mieszkam dopiero od lat niewielu, przedtem długo bardzo tułałem się po świecie, po najdalszych krańcach ziemi, w dosłownem znaczeniu; w ustawicznej zmianie szukałem zapomnienia i spokoju, chciałem zagłuszyć tę myśl straszną, która wszędzie nieodstępnie szła za mną. To, o czem

mówię, stało się w czasie mojej młodości, gdy mieszkałem w N...

«Miałem wówczas lat dwadzieścia, byłem zamożny, nawet bogaty, miałem wszystkie warunki, by stworzyć sobie życie szczęśliwe i przyjemne. Takiej przyszłości, jaka teraz przypadła mi w udziale, nie spodziewałem się nigdy. Ale niezgłębione są zrządzenia Boże.

«Dwadzieścia lat. Jak szczęśliwy był ten czas młodości. Nauce, zyskiwaniu wiedzy, zgłębianiu tajemnic przyrody i życia poświęcałem wszystkie moje siły. Wiedza była jedyną moją kochanką, poza nią nie istniały dla mnie żadne rozkosze, żadne przyjemności. Nie znałem jeszcze kobiety, uczucie miłości było mi czemś obcem, niepojętem prawie.

«Nie uśmiechaj się pan tak szyderczo. Wiem, że wydaje się to panu śmieszne: dwudziestoletni chłopiec z filozoficznym umysłem, gardzący kobietą. Zresztą rozumiem pana, mnie samemu zdaje się nieraz dziwnem, że wystarczało mi to do życia, a równocześnie z tęsknotą wspominam te chwile.

«Ale moje warunki życiowe były inne, jak

zwykłych ludzi i dlatego umysł mój musiał wejść na inne tory. Niech pan zważy, że matka odumarta mnie wcześniej, ojciec zdziwaczał po jej śmierci, zamknął się w sobie i takim go zawsze pamiętam. Ojciec, kilku starych służących, to było moje otoczenie od dzieciństwa, kobiety widywałem tylko zdaleka, pieśczoła dłoni kobiecej była mi zupełnie nieznana. Mimo zamożności ojciec mój prowadził żywot samotniczy, przesycony jakimś religijnym mistycyzmem; radość, wesołość były czemś obcem w naszym domu, który raczej klasztor przypominał. W takich warunkach spędziłem lata młodociane, przyzwyczajając się wcześniej szukać w życiu powagi i głębi, a gardzić błahemi uciechami chwili; wychowanie to nie mogło nie wpłynąć na mój wrażliwy umysł. A oprócz tego ojciec był bezwzględny wrogiem kobiet i w długich rozmowach, jakie prowadziliśmy codziennie, zaszczepiał tę nienawiść kropla po kropli w mojem sercu. Przyzwyczaiałem się też uważać kobietę za zaporę i przeszkodę w pracy, za zło nieuniknione, któremu tylko ludzie słabi nie umieją się oprzeć. A raz wszedłszy na te tory, sam w sobie

podbudzałem wzgardę, nawet myśl o kobiecie uważałem w mem chłopięcem przekonaniu za słabość woli. Zapewne; panu wydają się śmieszne podobne *przekonania* dwudziestoletniego chłopca, który nie znał wcale życia, który nie miał jeszcze nigdy nawet jego złudzeń; dla mnie były wówczas te przekonania wszystkiem, kardynalną zasadą życia.

«Potem ojciec umarł, zostałem sam. Związki rodzinne pozrywał jeszcze ojciec. I jego i mnie uważano, słusznie zresztą, za dziwaków, to też nikt nie miał ochoty zbliżyć się do «mędrka», jak mnie nazwano.

«Zostałem sam, zachowując nadal wiernie sposób życia, jakie wiodłem z ojcem, ślubując sobie, że nie sprzeniewierzę się nigdy wpojonym przez niego zasadom. Mieszkałem przy jednej z bocznych ulic, w niewielkim starodawnym domu, gdzie prócz mnie i mojego starego sługi, nie było żywej duszy. Pokój do pracy urządziłem sobie od strony ogrodu, aby gwar i hałas ulicy nie przeszkadzał mi w pracy; w sypialni, która leżała po przeciwnej stronie i której okna wychodziły na przeciwległe domy, spędzałem tylko

tyle godzin, ile potrzeba było koniecznie, aby znużony umysł wypoczął po całodziennem natężeniu. A udawałem się na spoczynek bardzo późno, nieraz brzask nowego dnia zastawał mnie jeszcze przy pracy.

«Prawie przez cały rok żyłem w ten sposób odosobniony od świata zewnętrznego, oddany wyłącznie nauce i rozmyślaniu, skupiony w sobie. Wiedza dawała mi szczęście i zadowolenie, otwierała mi nowe światy pełne tajemniczych skarbów i cudów, nie pragnąłem niczego więcej, zdawało mi się, że wogóle niczego więcej pragnąć nie można. Być bardzo może, że i dzisiaj jeszcze prowadziłbym to spokojne, zamknięte w sobie, samotne, a jednak tak barwne i pełne ożywienia życie nauki, gdyby się to nie było stało...

.

«A stało się tak.

«Pewnego wieczora czułem się bardziej znużonym, niż zwykle i dlatego wcześniej przeszedłem do sypialni. Zacząłem się rozbierać, rozważając w myśli niedawno przeczytane słowa, gdy nagle wzrok mój przy-

padkiem skierował się w stronę okna. Zdziwiłem się, widząc światło w oknach przeciwległego domu. Zwykle, gdy udawałem się na spoczynek, wszystkie światła były już pogaszone, cała ulica spoczywała w głębokim śnie, dlatego też zdziwienie moje było zupełnie naturalne. Zainteresowany światłem, zacząłem się wpatrywać w oświetlone okna. Szczególnie jeden pokój zwrócił moją uwagę: wysoka lampa, przyćmiona zielonym abażurem, rzucała dokoła mdłe, ale bardzo miłe światło, które przyjemnie działało na moje oczy, zmęczone długim czytaniem.

«Zrazu zdawało mi się, że niema nikogo w pokoju; później, skoro oswoiłem wzrok ze światłem, dostrzegłem dwoje ludzi siedzących obok siebie. Powoli rozpoznawałem coraz lepiej: mężczyzna i kobieta siedzieli wprost mojego okna. On obejmował ją w pół ramieniem, głowa jej spoczywała na jego piersi. Patrzyłem na to dość obojętnie.

«Nagle jednak jakiś dziwny dreszcz przebiegł moje ciało; widziałem wyraźnie, jak ją całował. — Po chwili zacząłem się wstydić sam przed sobą, chciałem się otrząsnąć z tego wrażenia, ale napróżno; oczy moje

z uporem zwracały się ustawicznie w tamtą stronę, wpatrywałem się w siedzących bezmyślnie, a jednak dręczony jakimś uczuciem, z którego nie umiałem sobie zdać sprawy.

«Nie wiem, jak długo stałem przy oknie. Dopiero kiedy światło zagasło, poszedłem jak nieprzytomny ku łóżku i upadłem na nie, szarpany dreszczami gorączki.

«Owej nocy nie mogłem spać. Ciągłe widziałem przed sobą tych dwoje ludzi, złączonych miłosnym uściskiem. To znowu zdawało mi się, że jakieś płonące usta błędzą po mojej twarzy i wżerają mi się w wargi; zrywałem się rozdrażniony, odpychałem urojone pocałunki; to znowu czułem miękkie dotknięcie kobiecego ciała, uściski drobnych, drżących dłoni. Przez całą noc męczyłem się strasznie, a kiedy wreszcie świt rozjaśnił ciemności, wstałem zmęczony, z rozpaloną głową, drżący gorączką nocy. Ubrałem się prędko i usiadłem do pracy, bo przypuszczałem, że w ten sposób najłatwiej uspokoję nerwy, wzburzone majaczeniami nocy.

«Ale myśl moja błędziła gdzieindziej, bezmyślnie przerzucałem karty książki, nie ro

zumiejąc ani słowa, nie znajdując punktu oparcia, o który mógłby się zahaczyć mój umysł i podążyć normalnym torem. Napróżno starałem się skupić uwagę, ustawicznie wracały wizye i sny nocy, wprowadzając nieład i zamieszanie w mój przemęczony mózg. Straciłem chęć do pracy, daremnie zmuszałem się, szamotałem sam z sobą przez cały długi dzień.

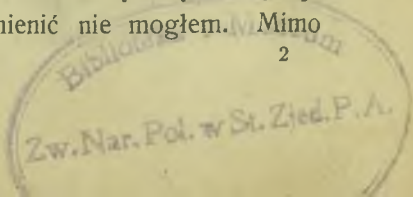
«Skoro nadszedł wieczór, opanowała mnie tylko ta jedna myśl, aby patrzeć na nich, na ich pieszczoty i pocałunki. Wiedziałem, że szaleństwem jest to, co czynię, a jednak mimo wszystko poszedłem do okna i stałem przy niem długo, bardzo długo, nie próbując nawet walczyć z tą siłą, która mnie tam nieprzeparcie pchała. I znowu szarpały mną dreszcze gorączki, znowu przez całą noc dręczyły mnie straszne, obłądne sny.

«Kilka następnych dni spędziłem wśród nieustającej męki. Po udręczeniach nocy, kiedy patrzałem na nich, następowały katusze dnia, straszniejsze, bo na jawie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że mój umysł przechodzi jakieś dziwne przeobrażenie, jakąś chorobę, korzystałem z każdej chwili, analizowa-

łem każdą jaśniejszą myśl, starałem się uświadomić sobie, co się ze mną dzieje. Ale mózg mój, dotychczas trzeźwy i wyćwiczony w rozumowaniu, pracował teraz zupełnie błędnie; niby maszyna, której trybom nadano fałszywy kierunek. Myśli zamiast szeregować się logicznie, stosować się do jakichś praw następczych, przeskakiwały z szaloną szybkością z jednego przedmiotu na drugi, obalały się i niszczyły wzajemnie; to czepiały się jakiegoś urojenia i wyolbrzymiały je do nieskończonych rozmiarów, to niknęły nagle, pozostawiając w mózgu olbrzymią, bolesną pustkę. Głowa ciągle płonęła gorączkowym żarem, a mózg wysilał się wśród tych rozpaczliwych zapasów i sprawiał mi ból niezmiernie dotkliwy.

«To jedno tylko uświadamiałem sobie, że treścią wszystkich moich myśli, wszystkich snów, wizyi, urojeń, była kobieta... kobieta.

«Tłómaczyłem sobie, że niezwykle widok, przemęczenie mózgu, samotność wreszcie tyloletnia złożyły się na to ogólne wrażenie, które tak silnie mną wstrząsnęło. Wszystko daremnie. Zmieniałem zewnętrzną formę myśli, treści ich zmienić nie mogłem. Mimo



najstraszniejszych z sobą zapasów, musiałem myśleć o kobiecie. — I lekarz nie pomógł wiele. Przedstawiłem mu swój stan, przedstawiłem wszystko, co go poprzedziło. Polecił spokój, lód, zimną wodę, zapisał brom i inne środki na uspokojenie nerwów, kazał przenieść sypialnię na drugą stronę domu, a pokoje frontowe zamknąć i nie wchodzić do nich zupełnie. Przez jeden dzień próbowałem zastosować się do jego wskazówek. Ale ani lód, którym okładałem głowę, ani środki uspokajające nie mogły ugasić płomieni szalejących w mózgu. A zakaz nie wchodzenia do frontowych pokoi, zakaz nie patrzenia na nich, przymus, jaki sobie zadawałem, aby zastosować się do wskazówek lekarza, bolały bardziej jeszcze, niż poprzednie udręczenia.

«I znowu pewnego wieczora stałem przy oknie, aby na nich patrzeć. Czekałem długo. Zdawało mi się, że czekam już od wieków, cały świat wrażeń i myśli przeokołował w mózgu. Ale okno, w którym ześrodkowywała się cała moja istota, było ciemne. Czekałem długo... okna przeciwległych domów gasły jedno po drugim, potem cała ulica

pograżała się w ciemności, a ja czekałem jeszcze. Zdawało mi się, że coś wyswobodzi się we mnie skoro ich zobaczę, że spadnie ten ciężar, który przytłoczył mi mózg i odbierał zdolność myślenia. Rozdrażnienie moje rosło z każdą nową chwilą oczekiwania; wreszcie nie mogłem już dłużej zapanować nad sobą, jak szalony wybiegłem z domu, chociaż nie wiedziałem sam, dokąd idę i poco?

«Po kilku godzinach wróciłem. Gdzie byłem, nie wiem do dziś, bezprzytomny krążyłem po mieście, po ulicach, pamiętam to tylko, że pożądałem i szukałem jej... kobiety, miłości... ale ta miłość przedajna obudziła we mnie taki wstręt i wzgardę, że uciekłem, zobaczywszy kobietę. — Wtedy nie próbowałem już nawet walczyć z sobą, wiedziałem, że wszystkie moje wysiłki będą daremne; cały dzień przeleżałem na łóżku, nie odbierałem zgoła żadnych wrażeń; tylko to wspomnienie widzianej pieszczoty i pocałunku w tysiącnych kształtach przewijało się przez mój mózg.

«Skoro zmierzch zapadł, jak lunatyk podszedłem ku oknu. Była sama. Widziałem, jak

chodziła niespokojnie po pokoju, oczekując na niego. I doznawałem jakiejś dziwnej rozkoszy, widząc, że jest sama, widząc jej tęsknotę i niepokój. Uspokajało mnie to, wzburzona fala nerwów układała się do równowagi. Tylko czasem porywała mnie wściekła, bezsilna złość, kiedy pomyślałem, że nie czeka daremnie. Na ogół jednak rozdrażnienie ustąpiło, widok jej nie sprawiał na mnie prawie żadnego wrażenia. Ale nie długo to trwało. Skoro tylko wszedł do pokoju, uczułem, że gorączka chwyta mnie na nowo. Kiedy rzuciła mu się na szyję, zdało mi się, że ktoś wbija w mój mózg tysiące drobnych igieł. Gdybym był mógł, wyrwałbym go siłą z jej uścisku, zabił go, zniszczył, rozkruszył na szczątki; tak straszny ból sprawiał mi ten widok. Ostatnim wysiłkiem woli starałem się zebrać rozprószone myśli, o tyle przynajmniej, aby nie popełnić jakiegoś szaleństwa. Przyciskałem głowę do zimnych tafli szklanych okna, to znowu gniołem rozpalone skronie. Nienawidziłem go i nie było męczarni, którejbym mu był oszczędził; здавало mi się, że wszystko, co umysł ludzki

mógłby wymyślić, byłoby karą za małą, że wszystkie tortury, jakimi średniowiecze nawracało kacerzy, nie byłyby dostateczną pokutą za jego winę. A kiedy odszedł, zmęczenie pokonało mnie, zasnąłem i spałem kilka godzin. Mózg znacznie wypoczął, a chociaż ciągle jeszcze palił mnie i bolał, łatwiej ten ból znosiłem, niż dni poprzednich.

«Ten sen pomógł mi; wstałem rzeźwiejszy, mogłem przynajmniej myśleć. I przedewszystkiem, korzystając z tej odrobiny energii, jakiej już dawno nie miałem, zająłem się moim chorobliwym stanem, postanowiłem za każdą cenę wyrwać się z tej niemocy, która mną owładnęła. Ja, tego szatana z okna naprzeciw, uważałem za przyczynę wszystkiego złego, więc postanowiłem się zobaczyć z nią, rozmówić, posiąść ją nawet, byleby wyjść wreszcie z tego koła obłądu.

«Plan wykonałem. Od rana czatowałem przy oknie, wyczekując chwili, kiedy wyjdzie z domu. Nareszcie zobaczyłem ją. I dziwne; ani nie wydała mi się piękną, ani nic nie pociągało mnie ku niej. Ale postanowiłem bądź co bądź zwalczyć chorobę. Wybiegłem z do-

mu na ulicę i skradając się, jak zwierzę gotowe do skoku, szedłem za nią krok w krok. Trwało to dość długo. Kiedy przypomniałem sobie jej narzeczonego, wydało mi się, że mnie ogarnia znowu dawny szal, w ostatnich przebłyskach świadomości drżałem obawą chwili, w której stanę z nią oko w oko, w której przemówię do niej. Ciągłe szedłem za nią. Nagle na jednej z mniej ludnych ulic zdało mi się, że on idzie naprzeciw. Nie panując już dłużej nad sobą, skoczyłem ku niej...

— Rzuciłeś się pan na nią i zabiłeś? — przerwałem zniecierpliwiony jego długim opowiadaniem. Aczkolwiek sprawy, jakie poruszał, były nawet wcale zajmujące, w tej chwili ciekawość usłyszenia ostatniego momentu historii tak zapanowała nademną, że wielomowność jego była mi wprost nieznośną.

Spojrzał na mnie zdumiony, jak gdyby to, co powiedziałem, wydało mu się czemś niemożliwym, nieprzewidzianem i zamyślił się.

— Tak, to istotnie dziwne — rzekł po chwili — że nie zabiłem jej wtedy. Nigdy

dotąd nie pomyślałem o tem. Rzeczywiście dziwne. Wobec tego rozdrażnienia, w jakim się znajdowałem...

— Więc ostatecznie cóż się stało?

— A tak, prawda... nie skończyłem jeszcze... Więc słuchaj pan dalej...

«Nie panowałem już dłużej nad sobą; nagle skoczyłem ku niej straszny, dziki i chwyciłem ją za ramię. Przestraszona obezwładniła ją, zdusił w gardle krzyk bólu i trwogi. Spojrzała na mnie.

«Wtedy oprzytomniałem.

«Tego spojrzenia nie zapomnę nigdy. Widziałem ludzi w różnych sytuacjach życiowych, widziałem na polu bitwy, w szponach dzikiego zwierzęcia, takiego spojrzenia nie widziałem nigdy. Byłaby się wtedy zgodziła uczynić wszystko, czegokolwiekbym był żądał. Byłaby poszła ze mną, byłaby została na miejscu, gdybym rozkazał. Czytałem w jej wzroku pokorę i poddanie. Nie myślała o żadnym oporze, nie mogła myśleć. Szeptala jakieś słowa, pewnie modlitwy i stała nieruchomie w miejscu, chociaż wypuściłem już jej ramię. A przecież ludzie przechodzili obok nas; potrzebowała krzyknąć, a ktokolwiek

byłby jej pospieszył z pomocą przeciwko waryatowi; bo za takiego musiała mnie uważać później, gdy oprzytomniała.

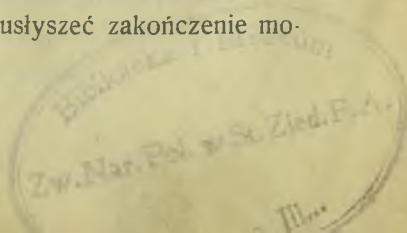
«Dopiero później, kiedy myślałem wiele o tem wszystkim, zrozumiałem, jak się to stało. Bo są ciosy, które człowiek obojętnie przyjmuje, chwile, kiedy najstraszniejszą rzecz uważa za zupełnie naturalną. Wydaje mu się zapewne, że to, co przyszło, musiało przyjść, że czekał na to już dawno i dlatego nie dziwi się, nie broni, bez żadnego oporu poddaje się wszystkiemu. Może gwałtowność ciosu go oszołamia i nie pozwala mu myśleć, może obca wola narzuca mu się z tak nieprzepartą siłą, że poddaje swoją. Czyż to można wiedzieć.

«I z nią działo się coś podobnego. Patrzyła na mnie z apatyczną trwogą, ale nie widziałem zdumienia na jej twarzy, nie myślała o ucieczce.

«Zacząłem się dziwić sam sobie, co robię na ulicy o tej porze, dlaczego stoję przy niej? Szał ustąpił. Była mi w tej chwili najzupełniej obojętną, jak zawsze zresztą, kiedy widziałem ją samą. Ta brutalna napaść była tylko wybrykiem rozdrażnionych nerwów, nie

motywowanym żadnem uczuciem lub afektem, była wyładowaniem energii, której kierunek był w istocie zupełnie inny. Chociaż i dzisiaj jeszcze, mimo, że myślałem o tem dużo, nie umiem sobie tego dokładnie wytłomaczyć. Zdaje mi się, że cała moja umysłowość ześrodkowuje się w mózgu i że kobietę tylko i wyłącznie mózgiem mogę odczuwać. Żadna nie pociąga mnie specjalnie ku sobie, poprostu nie odczuwam jej zupełnie jako jednostki, jako tej lub owej; widzę w niej tylko kobietę. I o tę kobietę jestem zazdrosny, bez względu, czy ujrzałem ją dopiero po raz pierwszy, czy widziałem sto razy, czy ją znam, czy nie znam. Ilekroć zobaczę kobietę w objęciach jakiegoś mężczyzny, wrząca fala krwi uderza mi do głowy, ogarnia mnie uczucie wściekłości; nie dlatego, żebym jej pożądał, ale że uważam ją niejako za swoją własność, do której ktoś śmiał się zbliżyć. To powtarzało się nieraz, powtarza się zawsze, chociaż już nie tak silnie, jak wtedy. Dziwna choroba, nieprawda?

«A pan ciekawy usłyszeć zakończenie mojej historii.



«Odwróciłem się od stojącej nieruchomie dziewczyny i odszedłem w przeciwną stronę. Wracalem do domu dziwnie spokojny. Zdało mi się, że wszystkie przejścia ostatnich dni były tylko dręczącym snem, z którego się nareszcie szczęśliwie przebudziłem. Skoro znalazłem się w domu, byłem wprost chorobliwie wesoły i swobodny. Ale równocześnie czułem się bardzo zmęczonym i pragnąłem wypoczynku. Położyłem się i zasnąłem twardym snem.

«Przebudzenie było nagłe i dziwne. Wprost ze snu przeszedłem w stan jawy, bez tego powolnego przejścia, jakim jest budzenie się. Obudziłem się, podniosłem się w tej samej chwili i poszedłem prosto do okna.

«Dlaczego się obudziłem? czyżbym odczuł ich pocałunki? Nie wiem. To są sprawy zbyt niepochwytne, aby można o nich powiedzieć cośkolwiek stanowczego.

«Stałem przy oknie i chociaż oczy moje musiały się dopiero przyzwyczajać do światła, byłem pewny, że siedzą tam oboje. — Choroba wracała, wracała z większą jeszcze mocą. Jednym szarpnięciem ręki rozwarłem

okno i wychyliłem się połową ciała. Nie myliłem się, siedzieli tam oboje, przytuleni w uścisku miłości. Przypominam sobie jeszcze, że zataczając się, jak pijany, odszedłem od okna; potem opuściła mnie świadomość. Musiałem zdjąć ze ściany rewolwer i wystrzelić.

«Dopiero huk wystrzału oprzytomnił mnie. Bezmyślnie spoglądałem przed siebie, słyszałem jakieś zamieszanie, krzyki, widziałem ludzi, biegających niespokojnie, wszystko mi było obojętne.

«Padł trupem. Na miejscu. Wogóle jestem złym strzelcem, nigdy nie trafiałem do celu, nawet gdy starałem się o to usilnie; wówczas kula nie zboczyła ani trochę. Bo wtedy mierzyłem do mojego wroga, do kochanka, z którym mnie zdradzała, mierzyłem do mojego odwiecznego rywala.

.

Zamilkł. Ogarnęło go nadzwyczajne wzruszenie; był strasznie blady. Potem otrząsnął się, jak gdyby zrzucał z siebie ostatek nie miłego wspomnienia i spojrział na mnie dziwnym, smutnym wzrokiem.

Z niekłamanem współczuciem ścisnąłem jego rękę.

— I to wszystko — mówił dalej po chwili. — Resztę możesz pan znaleźć w aktach kryminalnych.

— Policya zastała mnie przy oknie z rewolwerem w zaciśniętej dłoni. Nie potrzeba było dowodzić winy, zresztą nie wypierałem się niczego. Uwzględniono okoliczności łagodzące i dlatego wymierzono karę stosunkowo niską. Może uwolniono by mnie nawet, gdybym był powiedział to wszystko, co panu opowiedziałem. Oni widzieli w tem zwykłą zazdrość, myśleli, że się kochałem w tej dziewczynie i że wskutek tego owładnięty miłosnym szałem, zabiłem jej narzeczonego. Przyczyniło się do takiego mniemania i jej zeznanie o tem, jak napadłem ją na ulicy. Ja sam nie broniłem się wcale, zresztą nie mógłbym być nawet tego uczynić; przez kilka miesięcy byłem prawie obłąkany.

— Czasem myślę o tem, a wtedy strach mnie przejmuje przed samym sobą. Zbrodnia ta, a raczej ten wysiłek nerwów odebrał mi energię i chęć do życia; w węż-

drówce po dalekich światach szukałem zapomnienia, wreszcie osiadłem tutaj złamany, beznadziejny starzec. I żyję. Chociaż czyż życie moje można nazwać życiem? Ale wola Boża.



UPIÓR



Nie, to być nie może! Jeszcze teraz nie mogła w to uwierzyć. Wczoraj widziała go, mówiła z nim i dzisiaj...

To być nie może. Dlaczego miałby sobie życie odbierać?!

Tam na stole leżał ten list, ten straszny list od Jana.

Tylko kilka słów:

«Jesteś pani wolną, dzisiaj rano znaleziono go z przestrzeloną skronią.»

Boże! jakże to straszne. Ale to niemożliwe, to się stać nie mogło.

Wczoraj jeszcze był tak ożywiony, wesoły; niczem nie zdradzał samobójczych zamiarów. Mówił, że pracuje teraz wieczorami, aby przyspieszyć tę chwilę, kiedy zawsze będą mogli być razem i dlatego musi się nieraz wyrzec jej towarzystwa, ale przecież przyrzekł jej, że przyjdzie dzisiaj przedpołudniem, że pójdą przejść się po mieście. Mieli równocześnie wstąpić do krawcowej po to okrycie, które

się jej tak podobało. Wieczorem nie był u niej wcale, służąca byłaby jej powiedziała. Umyślnie wstała wcześniej, aby się ubrać, zanim przyjdzie. Chciała mu zrobić niespodziankę bo zawsze żartował z niej, że za późno wstaje, że trzeba na nią tak długo czekać. Dzisiaj ona chciała czekać na niego.

Przyszła Zosia smutna i zakłopotana. Ona pierwsza przyniosła jej tę wiadomość. Ale wtedy nie przypuszczała ani przez chwilę ażeby to mogło być prawdą. Śmiała się z jej łatwowierności, nazwała to nierozsądnym żartem, cieszyła się, że Zosia uwierzyła w coś podobnego.

A jednak Zosia długo, uporczywie upierała się przy tem, co mówiła. Tak, że zaczęło ją to wreszcie gniewać. Zosia odeszła, została sama, wesoło ubierała się dalej, nie myślała o tem, bo i czemu miała myśleć o rzeczach, które nie mogły być prawdziwe.

Kiedy już kończyła się ubierać, przyniesiono jej ten list, ten straszny list.

Nagły, niespodziewany cios obezwładnił ją, oszołomił; wpatrywała się długo w czarne głoski, które jej niosły tę przerażającą wieść; długo nie mogła zrozumieć ich treści. A po-

tem nagle z przerażającym okrzykiem padła na sofę; zdawało jej się, że traci przytomność, że wszystko w koło niej zapada się, wali się, że wszystkie jej marzenia rozpryskują się, a ona samotna, pozbawiona wszelkiej nadziei ginie wraz z niemi.

I leży już przeszło godzinę na sofie, bez ruchu, bez woli, i dotychczas nie może uwierzyć w to, co się stało, dotychczas nie może jeszcze myśleć spokojnie.

Dlaczego miałby sobie życie odbierać? Nie miał żadnych trosk, żadnych zmartwień, wszystko wiodło mu się po myśli. Znała go przecież tak dobrze. Wiedziała, że każda najdrobniejsza zgryzota zmienia zupełnie całą jego istotę; nie umiał niczego przed nią ukryć, a zresztą nie starał się ukrywać. Zawsze zwierzał jej się ze wszystkiego, dzielił się z nią szczęściem i niepowodzeniem. A wczoraj był tak szczęśliwy. Nie zdradzał ani śladu niepokoju, niezadowolenia, śmiał się, żartował, cieszył się, że niedługo będzie ją mógł nazwać swoją, a tego zawsze tak usilnie pragnął. Jakiż powód mógł go skłonić, że się targnął na swoje życie?

Ale nie, nie, to przecież niemożliwe. Jak

ona mogła w to wierzyć, choćby przez chwilę. Chcą ją oszukać, okłamać, rozmyślnie zadają jej takie męczarnie, cieszą się jej cierpieniem. Jan nienawidzi ją, o tem wie dobrze, Jan obmyślił te tortury. Chciał ją podejść, nakłonić w ten sposób do zerwania. Ale ona nie uwierzy, będzie walczyć o narzeczonego, nie pozwoli go sobie wydrzeć.

...Tak to dzieło Jana, ta wiadomość o samobójstwie. On to wymyślił. Zygmunt zmuszony przez niego, wyjechał pewnie. Ale że też Zygmunt daje się powodować takiemu człowiekowi... O jak ona to czuła, że Jan krecią robotą ustawicznie dąży do tego, aby rozerwać ich związek, wiedziała przecież, że szpieguje każdy jej krok, wszelkimi sposobami stara się osłabić zaufanie, jakie Zygmunt ma do niej. I teraz poczciwy, łatwowierny Zygmunt, wierząc ślepo w jego przyjaźń, dał mu się nakłonić i wyjechał. Przecież i ona wiedziała, że miał jechać do rodziny, aby przed ślubem ostatecznie uporządkować sprawy majątkowe. Tak, pewnie wyjechał, a Jan wykorzystał tę chwilę, aby się nad nią pastwić...

...Wyjechał, ale czemu w takim razie nie przyszedł się z nią pożegnać... dziwne...

...I Zosia!... Boże!... więc to prawda... Boże!... Skąd Zosia mogłaby o tem wiedzieć? Jej Jan nie mógł być przecież wciągnąć do spisku, nie znali się wcale, nie wiedzieli nawet o sobie... Boże!... I Zosia przyniosła tę samą wieść...

Więc nie żyje... Ale dlaczego? Dlaczego?

O tem nie wiedział, nie mógł wiedzieć. Nie! Nie! Nikt nie domyślał się niczego. Jeden Jan może. Ale on nie śmiałby był tego Zygmuntowi powiedzieć. A zresztą, gdyby był chciał i mógł, zrobiłby to był już dawno. Nie byłby jej oszczędzał. Ale o tem, że wczoraj była u niego, nie mógł wiedzieć. Nawet służąca się nie domyślała, że prawie całą noc spędziła poza domem. I nikt jej nie widział; jechała zamkniętą doróżką, tak wczesnie wróciła do domu. Nawet brama była jeszcze zamknięta. Bezwarunkowo niemożliwe, aby ją ktoś był zobaczył.

Jakieś inne powody?... Ale jakie, jakie? Nie wspominał wczoraj o niczem, a gdyby go było coś dręczyło, byłby jej napewno

powiedział. Wieczorem pracował, pewnie wcale nie wychodził z domu... Jakiś list przykry, telegram? Nie i to niemożliwe. Byłby przecież napisał do niej, jedno, dwa słowa, byłby się z nią pożegnał. Wszak kochał ją tak bardzo.

Tak, tak, to być nie może. On żyje, żyje. Tylko ta straszna niepewność.

Jak się dowiedzieć?...

W ten sposób będzie najlepiej.

Zerwała się, usiadła przy biurku i napisała list. Tak. Tak będzie najlepiej. Jan jest jeszcze w domu, nigdy nie wychodził o tej porze; on musi jej powiedzieć prawdę. Musi przecież znać powody, które skłoniły Zygmunta do tego straszego kroku. Bez ważnych powodów nikt sobie życia nie odbiera. Zmusi Jana, żeby jej powiedział wszystko. Lepiej zginąć odrazu, niż dłużej tak strasznie się męczyć niepewnością.

Zadzwoiła.

— Odniesiesz ten list natychmiast. Gdyby pana nie było w domu, pójdziesz do biura. Powiesz, że jestem chora, że muszę się z panem widzieć koniecznie. Zrób wszystko, co będziesz mogła, byleby tu zaraz przyszedł.

Uspokoila się trochę i znowu położyła się na sofie.

Że się to wczoraj stać musiało. Jeżeli ona była przyczyną jego śmierci? Ale nie, jak mogła nawet przypuszczać. Bądź co bądź jednak źle się stało, że była wczoraj u Adolfa. Trzeba było już raz zerwać ten stosunek, niepotrzebnie się narażać. Gdyby ktoś był ją zobaczył?... Ale Adolf tak bardzo prosił. Wiedział, że ma zaślubić Zygmunta, więc chciał ją jeszcze raz zobaczyć, pożegnać się z nią na zawsze. Uległa jego prośbom, ale źle się stało, że uległa. Gdyby się Zygmunt dowiedział o tem... Jak to dobrze, że Adolf wyjeżdża. Ostatnia nić, która ją wiąże z przeszłością, zerwie się raz na zawsze. Nigdy nie mogła bez wstrętu myśleć o tej przeszłości. Jedna czarna plama, długie życie grzesznych rozkoszy. Jak wdzięczną była Zygmuntowi, że chciał ją wydobyć z tego błota, w którym brnęła tak długo, a którym się przecież mimo wszystko tak strasznie brzydziła.

Tak... zrobiła bardzo źle, że poszła wczoraj. Ha, stało się! Ale to już po raz ostatni, już nigdy nawet nie pomyśli o czemś podobnym. Całe swoje życie, wszystkie siły po-

święci, będzie dla niego troskliwą, dobrą, kochającą żoną. I będzie uczciwą kobietą.

Lecz jeżeli on istotnie nie żyje. Boże! znowu to życie brudu... Poco myśleć o tem? Przecież za chwilę dowie się o wszystkim. Jan przyjdzie, a ona go zmusi, by jej wszystko powiedział, wszystko... wszystko... Co się w tem słowie kryć może... wszystko...

Spojrzała na zegarek. Teraz Kasia oddała mu już pewnie list. Bezmyślnie patrzyła na zegarek.

Ten zegarek to także podarunek od niego. Pierwszy podarunek.

Jeszcze dzisiaj pamięta, jak się to stało. Prosiła go, aby jej złoty zegarek, pamiątkę po matce, zaniósł do naprawy do zegarmistrza. Potem poszli razem odebrać. Ale zegarmistrz nie skończył jeszcze naprawiać. Zaczęła udawać, że się gniewa, płacze. A wtedy kupił jej ten zegarek. Nie chciała go przyjąć, ale on ją tak prosił, że nie śmiała mu odmówić. I umyślnie używała odtąd tylko tego zegarka, bo widziała, jak mu to przyjemnie.

Czego też dowie się za chwilę?...

Trup samobójcy musi strasznie wyglądać. Szeroko rozwarte, krwią obiegłe oczy, zsi-

niałe, pełne wyrzutu i skargi. Włosy zwichrzone, zlepione krwią, jego piękne, bujne włosy, które tak lubiła głaskać i pieścić... Usta wykrzywione śmiertelnym kurczem, niby uśmiechnięte boleśnie. A on zawsze się tak uśmiechał, kiedy go okłamywała... Twarz smutna i blada, a na skroni maleńki otworek, nie większy od końca jej małego palca, otworek, którym życie uleciało... Boże! jakie to straszne!

I będzie musiała iść tam do niego, patrzeć w jego straszne oczy. Będzie się uśmiechał do niej tym strasznym, nieruchomym uśmiechem trupa... Kazał jej iść za jego trumną, wlec się gdzieś daleko, za mury cmentarza, będzie musiała patrzeć, jak na trumnę posypią się ciężkie bryły ziemi i pogrzebią go na wieki. A z nim razem jej marzenia, jej szczęście, na które tak długo czekała.

Nie, ona nie mogłaby spojrzeć mu w oczy, które może sama krwią splamiła. I jeżeli ona była przyczyną jego śmierci?

Nie, nie, on nie mógł o tem wiedzieć... nie... nie...

...Żeby Jan już przyszedł. Ta straszna niepewność...

I Kasia także nie wraca. Chyba nie zastała go w domu i musiała iść do biura. Ale i w takim razie powinnyby już była wrócić.

Samobójca... jakie to straszne. Ona nie potrafiłaby sobie życia odebrać, cofnęłaby się w ostatniej chwili. Jak straszne muszą być te kilka minut przed samą śmiercią, kiedy się wie, że za chwilę będzie się już tylko trupem. — A trup samobójcy tak okropnie wygląda, na samą myśl o tem włosy się jeżą na głowie. Nigdy nie zdoła o nim zapomnieć.

Samotnie będzie leżał zdala od ludzi, w nieświęconej ziemi. Nikt nie przyjdzie modlić się na jego grobie. Ludzie z trwogą będą go omijali. A może każdy, przechodząc, rzuci gałąź, tak jak w lesie na wsi u jej ojca, i powstanie wysoki, straszny stos gałęzi... W zaduszki nikt nie zapali ofiarnego światła, tylko błędne ogniki będą tańczyć naokoło grobu i wicher będzie wyć dzikie pieśni, a spóźnieni wędrowcy będą się z przerażeniem żegnać znakiem krzyża świętego i uciekać od przeklętego miejsca...

.

Zerwała się nagle z sofy.

Ktoś idzie!

Pewnie Kasia. A może to Jan?

Teraz dochodzi do drzwi.

Nie... to ktoś przeszedł na drugie piętro. Czemu Kasia jeszcze nie wróciła? Doprawdy, można oszaleć.

...Czy też Kasia domyśla się czego? Ale skądże? nie może nawet przypuszczać. Ciekawe, jak będzie sobie tłumaczyć przyczynę samobójstwa...

Jak on ją kochał. Wiedział przecież, że przeszłość jej była pełna brudu, a nie zaważał się podać jej zbawczej ręki. Był zamożny, szanowany, nie mogła nawet na chwilę przypuścić, aby się z nią chciał żenić dla majątku.

I co teraz, co teraz?

Czemu myślała o tem wszystkim? Przecież to nieprawda, że on nie żyje... To nieprawda! nieprawda!

Któż jej to powiedział? Kto? Kto? Nie dość, że inni tak strasznie ją dręczą, jeszcze sama siebie zabija i zamęcza temi myślami...

.

— To ty, Kasiu? Gdzieżeś siedziała tak długo? Oddałaś list? Cóż? Przyjdzie? Dla czego nic nie mówisz?... Może...?

Służąca tłumaczyła się z zakłopotaniem.

— Musiałam szukać pana Bolskiego, nie zastałam go w domu, wyszedł wczas rano, bo...

— Bo co? No mówże przecie!

— Bo pan Zygmunt... — zająknęła się.

— Więc co się stało? Prędszej! Mów! Słyszysz — krzyczała coraz gwałtowniej.

— Pan Zygmunt zastrzelił się dzisiaj w nocy.

— Zastrzelił się? Boże!

— Dzisiaj w nocy. Pan Bolski już rano tam poleciał, siedzi ciągle w jego mieszkaniu i zakazał wpuszczać kogokolwiek...

— Zastrzelił się. Nie żyje! Boże, Boże!

— Oddałam list, potem pan Bolski wyszedł do mnie za chwilę, ale bardzo zgniewany.

— I dlaczego się to stało? Nie, nie... nie to... tylko nie to! Gdzie pan Bolski? No mów! Czego tak stoisz? Kiedy tu przyjdzie? Nie, nie, on mu nie mógł o tem powiedzieć, nie, nie!

— Pan Bolski najpierw powiedział, że nie przyjdzie i powiedział...

— Prędszej, prędszej!

— No powiedział tak, że z panią niema

o czem mówić, bo pani sama od siebie wie już wszystko...

— Nie przyjdzie?! Kasiu, moja Kasiu, idź jeszcze raz do niego i poproś go tutaj. Powiedz, że ja go na klęczkach błagam, aby przyszedł.

— Tak ja powiedziałam, że pani kazała go bardzo prosić i że pani bardzo chora, a wtedy to on się jeszcze bardziej zgniewał i zaczął coś krzyczeć, czego nie rozumiałam, ale wreszcie powiedział, że przyjdzie tu za chwilę, bo i sam chce się z panią jeszcze rozmówić.

Odetchnęła... Więc przyjdzie.

— Czy widziałaś go? — spytała nagle z trwogą.

— Kogo? proszę pani.

— No, trupa — rzekła niemal szeptem.

— Nie, proszę pani. Nie wpuszczają nikogo. Tylko lokaj pana Bolskiego, co tam jest także, mówił mi, że pan Zygmunt strasznie zmieniony. Podobno znaleźli go na krześle przy stole, a w nocy to nawet nikt nie słyszał, jak się zastrzelił. Dopiero rano, jak służący przyszedł czyścić ubranie, zobaczyli, co się

stało. Służący się okropnie przestraszył i poleciał zaraz po pana Bolskiego...

— Idź już. Dziękuję ci.

— A chciałam się jeszcze wielmożnej pani zapytać, dlaczego się to pan Zygmunt zastrzelił?

— Dlaczego?!... Idź już! Słyszysz, możesz odejść.

Dlaczego?! Gdyby ona mogła wiedzieć... Dlaczego? Jeżeli to ona była przyczyną jego śmierci? I właśnie wczoraj...

Boże, Boże! więc ten trup straszny, to nie sen, to nie zwidzenie, to prawda, prawda. Już nie żyje. Napróżno okłamywała się tak długo, Jan napisał prawdę. Nie żyje...

— Ale nie ja go zabiłam, nie ja! — krzyzczała strasznym głosem. — O tem nie mógł wiedzieć. Nie ja!

Osunęła się bezwładnie na sofę i łkała gwałtownie. Jak gdyby coś rozdzierało jej piersi.

— Nie ja — powtarzała ochrypłym, jęczącym głosem.

Przecież ludzie i z innych powodów odbierają sobie życie. Dlaczego koniecznie ona... Boże! Jak ta myśl uporczywie uczepiła się

jej mózgu, dlaczego nie mogła się jej pozbyć.

Nie ona... nie ona... tłumaczyła się sama przed sobą... Tak bardzo ją kochał; nie byłby zawierzył żadnym zapewnieniom, żadnym pozorom. Znała go przecież. Byłby się starał sam zbadać, byłby przyszedł do niej, zapytał, śledził... I chciał ją wziąć za żonę, chociaż wiedział, domyślał się jej przeszłości. A wczoraj... wczoraj nikt jej nie widział, nikt nie wie o niczem... Adolf jest tu dopiero od kilku dni, nie spotykała się z nim już tak dawno. Inny musiał być powód.

Pewnie napisał nawet do niej, tylko Jan nie chce jej dać listu. Ale zmusi go, aby jej dał, zmusi go, aby jej wszystko powiedział, całą prawdę.

Gniewał się, gdy przyszła służąca, ale jest pewnie zdenerwowany, boleje nad utratą przyjaciela; gniewał się, że go odwołują od ciała zmarłego. Chciał się pewnie pozbyć służącej i dlatego tak mówił. Ale to co innego. Dlaczegoż zaraz przypuszczać najgorsze?

Uspokajała się powoli i leżała nieruchomo, wpatrując się w powałę.

.

Służąca wbiegła do pokoju.

— Pan Bolski przyszedł. Czy mam go tu wprowadzić.

— Poproś, niech wejdzie.

Teraz była już zupełnie spokojna, zapomniała niemal o wszystkim. Bardzo dobrze, że Bolski przyszedł.

Podniosła się i postąpiła naprzeciw wchodzącego.

— Dziękuję panu bardzo, żeś pan przyszedł.

— Czego sobie pani odemnie życzy?

— Proszę, niech pan siada. Czego ja to chciałam...

— Wybaczy pani, że odrazu przystąpię do rzeczy, ale smutny obowiązek. Zrozumie pani chyba; nie mam czasu na próżne rozmowy... Więc czem mogę jeszcze pani służyć?

— Zygmunt się zastrzelił.

— A tak. Zdaje mi się, że nie powinno to pani dziwić.

— Ale dlaczego? dlaczego? ja nie mogę tego zrozumieć z jakiego powodu?

— Jakto? I pani mnie o to pyta?

Rozśmiał się szyderczo.

— Przecież pan wie chyba, co go skłoniło? Pan, jego najlepszy przyjaciel. A ja to

chcę wiedzieć, muszę wiedzieć, dlaczego się to stało?

— Wie pani, tego to już chyba za wiele. To już bezczelność. Inaczej tego nazwać nie można. Jakto? Więc pani mnie o to pyta? Więc pani może przypuszcza, że odebrał sobie życie z mojej przyczyny? Zdaje mi się, że jeżeli kto, to pani chyba nie potrzebuje się pytać o przyczynę, przecież to dzieło pani! — mówił z rosnącym oburzeniem.

— Ja?! Cóż ja jestem temu winna?

— Ha, ha! Nie, wie pani, to już przechodzi wszelkie pojęcie. Więc pani sądziła, istotnie sądziła pani, że miał może zawrzeć z panią małżeństwo we troje, gdzie tym trzecim byłby wielki przyjaciel pani, pan... wszak wie pani chyba, o kim myślę.

— To kłamstwo, kłamstwo. On o tem nie wiedział.

— Wiedział, łaskawa pani.

— Ale skąd? Od kogo?

— Ja sam mu powiedziałem.

— Pan? Pan?! Podły pan jesteś!

— Lepiej byłoby nie szafować tak tem słowem. Raczej komu innemu z nas możnaby je rzucić w oczy.

— A chociażby nawet, chociażby nawet dowiedział się o tem, nie byłby mnie potępił na podstawie li tylko pańskich słów. Do tego nie był zdolny. Nie byłby sobie odbierał życia, dopóki by nie miał pewności.

— A cóż pani nazywa pewnością? Miał może jak upiór zjawić się wczoraj w cudzem mieszkaniu i zakłócić państwu przyjemny wieczór?

— Boże! To kłamstwo. Kto panu to powiedział, to kłamstwo, powiedz pan, że kłamiesz!

— Nie, pani, to prawda.

— Dlaczego powiedziałaś mu pan o tem, dlaczego?

— Dlaczego? pyta się pani?

— Wiem, że mnie pan nienawidzisz, wiem, że wszelkimi siłami dążyłeś do tego, aby nas rozerwać. Udając przyjaciela, dręczyłeś go i zabiłeś wreszcie. Zamierzone dzieło powiodło ci się w zupełności.

— Pani go zabiłaś, nie ja! Ja nie udawałem przyjaciela, jak to pani przed chwilą raczyła powiedzieć, ale byłem jego przyjacielem, prawdziwym przyjacielem, kochałem go. I dlatego właśnie, mówię to szczerze, chociaż

bardzo cierpię, to jednak wolę, że nie żyje, niż żeby miał być mężem takiej kobiety, jak pani. Jeszcze wczoraj okłamywałaś go pani, jeszcze wczoraj zdradziłaś go.

— Kłamiesz pan! Podle kłamiesz!

— Ha, ha, to łatwo powiedzieć... Powinnaś się pani wstydzić tego, co mówisz w tej chwili, wstydzić, że nie masz w duszy iskry uczciwości... A on cię tak kochał, że nie mógł przeżyć twojej hańby, nie mógł przeżyć twojej zdrady. Każdą wolną chwilę spędzał tutaj, otaczał panią bezgraniczną miłością, chciał przebaczyć i zapomnieć wszystko. A pani wywdzięczyła mu się za to. Tak, tak. Wczoraj jeszcze wieczorem przybiegło tu biedaczysko; chciał pani donieść, że nic już nie stoi na przeszkodzie, że nie potrzebuje już nigdzie jeździć, bo siostra załatwiła wszystko za niego.

— Wczoraj? Wczoraj?!

— Tak, wczoraj. Przybiegł tu spragniony widoku pani, aby się podzielić z panią tą radosną nowiną, czekał długo, ale oczywiście nie mógł się doczekać, szukał w najrozmaitszych miejscach, ale nie mógł znaleźć. Wtedy biedak przyszedł do mnie i bolał nad tem

i skarżył się, że nigdzie pani znaleźć nie może.

— I? — szepnęła bezdźwięcznie, prawie nieprzytomna.

— I musiałem patrzeć na ten jego ból, słuchać skarg, wiedząc niemal z wszelką pewnością, gdzie się pani znajduje. Widziałem wczoraj tego miłego pana... no, wie pani, o kim mówię, i łatwo było mi się domyśleć, dokąd pani poszła. Dłużej nie mogłem i nie chciałem ani pani oszczędzać, ani jego okłamywać. Powiedziałem mu wszystko.

— Nie, nie! Nikt nie wiedział o tem! To były domysły!

— Otóż właśnie. Nawet mnie nie chciał uwierzyć. Rzucił się na mnie jak wściekły, zarzucił mi kłamstwo i potwarz, chciał mnie nawet wypoliczkować za to, co powiedziałem. I wrócił do mieszkania pani, czekał, dręczył się najrozmaitszemi podejrzeniami i opierał się tej myśli, walczył z sobą. A wreszcie poszedł tam. Dowiedział się od stróża, że pani tam jesteś, całą noc jak pies czatował przed bramą, odpędził mnie szorstko od siebie i czekał na panią. I doczekał się. Po to, aby, wróciwszy do domu, w łeb sobie strze-

lić. Tego jednego nie przewidziałem, tego, że panią tak kocha.

Słuchała z zapartym oddechem, ale słowa brzęczały jej tylko koło uszu, nie zdawała sobie z niczego sprawy.

Dopiero bardzo powoli zaczynała rozumieć.

Więc zabiła go, zabiła. Godnie odpłaciła mu za jego miłość, za jego poświęcenie... Więc był u niej wieczorem... W nocy czatował przed bramą... i wiedział... o wszystkim...

Wybuchnęła nagle strasznym płaczem.

— Powiedz pan, że to kłamstwo — błagała, wlokąc mu się koło nóg — powiedz pan, że to nie z mojej winy się stało. Nie dręcz mnie pan tak strasznie. Widzisz przecież, co się ze mną dzieje.

— Nędzna komedyantka — krzyknął szorstko i zwrócił się ku drzwiom.

— Nie odchodź pan — jęczała — powiedz, że mówiłeś to umyślnie, aby mnie doświadczyć. Ja panu daruję tę krzywdę, przebaczę, żeś mnie tak strasznie dręczył. Bo ja go kochałam, ja go bardzo kochałam.

— Podła!

Wyszedł szybko z pokoju.

Ciągle jeszcze jęczała, klęcząc na ziemi.

— Wróć pan, nie zostawiaj mnie tak, powiedz choć jedno słowo. Nie będę się wam już narzucać, usunę się, ucieknę gdzieś daleko, ale powiedz pan, że to nie prawda, że on nie wiedział o niczem...

.



Oprzytomniała.

Co się z nią działo właściwie? Czemu leży na ziemi?

A prawda, Zygmunt się zastrzelił. Przez nią! Ale czyż to nie Zygmunt wyszedł dopiero przed chwilą z pokoju?...

Wzdrygnęła się.

Przecież on nie żyje.

Zabiła go... Boże, Boże.

Podniosła się, położyła się na sofie i zaczęła łkać cicho, spokojnie.

Na cóż zda się jej płacz. Jego już do życia nie przywoła, nie ulży jej tego straszego ciężaru, który ją przywalił... Gdyby ją był zabił, byłaby szczęśliwa. Byłby się ulitował nad jej trupem, byłby jej przebaczył. Ale on pogardził nią, kazał jej żyć w hańbie i rozpacz. Strasznie się na niej zemścił. Odebrał jej wszelką nadzieję, rozbił, zniweczył całe jej szczęście, a w zamian za to dał zgryzotę, wyrzut, który jej już nigdy nie opuści.

Jakie będzie teraz jej życie? Jest tak słaba i chwiejna, że nie potrafi walczyć sama, potrzebuje podpory w życiu. Zygmunt byłby ją bronił przed światem, przed nią samą przedewszystkiem. Teraz ta ostatnia podpora, w której pokładała całą nadzieję, wymknęła się jej z rąk, nie wymknęła nawet, sama odtrąciła ją od siebie.

Już wszystko stracone. Życie rozpaczy pochwyci ją w szpony i będzie wlec przez długie lata. Jak wyjść z tego zaklętego koła, które otoczyło ją ze wszystkich stron i zacieśniało się coraz bardziej? Gdyby mogła umrzeć, ale ona boi się śmierci, życie tak piękne, można w niem szczęście znaleźć. Ha, ha, ha! znalazła je, przecież jest szczęśliwa, tak szczęśliwa, że wszelkie nadzieje przyszłości mogła tak śmiało stawiać na kartę i odrzucić od siebie. W nadmiarze szczęścia zerwała z przyszłością, zamknęła troskliwie każde wejście.

Czemu Bóg nie miał nad nią litości, czemu ją tak strasznie karał?... Tak wczesnie zabrał jej ojca i matkę, została sama na świecie, samotna, zamożna, niedoświadczona. Nie umiała walczyć ze światem i świat ją zbrudził,

zabił. To życie dnia, szukanie coraz nowych przyjemności, wieczne, nieustanne gonienie za rozkoszą... jak mogła znajdować zadowolenie w takim życiu? Musiała się brzydzić sama sobą.

A teraz, kiedy mogłaby rozpocząć nowe życie, kiedy wiedziała, gdzie szukać szczęścia, teraz wszystko skończone, zamknięte przed nią.

I on... Czemu on ją tak skrzywdził? Pokazał jej dalekie szczęście, otworzył na ścieżaj bramy życia, kazał jej marzyć, pragnąć po to tylko, aby brutalnie roztrącić ten złudny obraz. Była przecież zadowolona z życia, jakie pędziła, nie pragnęła niczego więcej, wyzbyła się snów i marzeń młodości, a on rozniecił nowe pragnienia, rozsycił zduszone, przygaste ognie i obudził straszny głód szczęścia, którego już nigdy nie miała zaspokoić.

Odebrał sobie życie, ale nie tylko sobie, ją zabił także, skazał na długie, powolne konanie.

Ciągle i ciągle musiała o tem myśleć.

.

Służąca przyszła, aby oznajmić, że obiad podany. Nie ruszyła się z miejsca; na po-

wtórne zapytanie, czy przejdzie do jadalni, odpowiedziała niemal szorstko, że jeść nie będzie.

Czyż mogłaby teraz przełknąć cośkolwiek. Była syta bólem i rozpaczą, karmiła się nią przecie od rana.

Zwykle razem jadali obiad. Teraz musiałyby sama siedzieć przy stole, wszystko przypominałoby jej człowieka, którego już nigdy nie miała widzieć. Nawet potrawy tylko te przyrządzano, które on lubił. I dzisiaj także...

Nie, nie, jeść nie będzie, nie jest głodna. Może później, wieczorem.

— Czy zebrać ze stołu?

Jak jej to obojętne, po co wogóle męczą ją takimi drobnostkami. Jak gdyby cośkolwiek zależało od tego. Zawoła, jeżeli będzie czego potrzebować. Teraz chce być sama.

Sama.

Gdyby mogła być sama, Ale przecież on jest tu przy niej, każe jej myśleć o sobie, dręczy ją ustawicznie, oh, jak ją dręczy. I nigdy nie skończą się te męczarnie...

Mrok zapadał powoli.

Wkradał się cicho, ostrożnie; zrazu ukrywał się w zakątkach pokoju, później rozsnu-

wał się coraz śmieiej, coraz większe ogarniał przestrzenie, mocował się z ostatnimi blaskami dnia — i w zwycięskiej walce wypierał je krok za krokiem.

Coraz ciemniej robiło się w pokoju. Kontury mebli wychylały się z kątów, jak widma jakieś, pełne grozy, kryształowy światełków migotały bladym, upiornym blaskiem.

Podniosła się z sofy i drgnęła przerażona. Pograżona w myślach nie zwróciła uwagi, że mrok już zapadł i teraz nagle zdjął ją lęk przed ciemnością, która skradała się ku niej ze wszystkich stron i obejmowała tajemniczym uściskiem.

Trwoga obezwładniała ją tak, że nie mogła się poruszyć.

Zakryła oczy rękami, bo w każdym kącie widziała jego zsiniałą twarz, jego oczy krwią nabiegłe, patrzące na nią z bolesnym wyrzutem i groźbą. Każdy szelest potęgował jej przerażenie, czuła, że oszaleje, jeżeli nie zniknie gdzieś przed tą ciemnością, przed nim.

Zdawało się jej, że ktoś podchodzi ku niej, skrada się cicho na palcach, zdawało się jej, że słyszy ciężki, charczący oddech, gwałtem wstrzymywany w krtani.

Chciała krzyknąć, ale przerażenie ścisnęło ją za gardło, szeroko rozwarte usta krzyczały bezdźwięcznie, niemym wykrzykiem.

O, teraz stoi już przy niej, wyciąga ręce, za chwilę pochwyci ją zimnemi, blademi rękami.

Wciskała się całym ciałem w poduszki kanapy, aby opóźnić tę chwilę, kiedy te ręce, które czuła nad sobą, dotkną jej ciała.

Teraz... już teraz...

— Kasiu! Kasiu! — krzyknęła strasznie, zduszonym głosem.

Ostatnim wysiłkiem zerwała się i cofała się ku drzwiom.

Nagle uczuła, że ktoś chwyta ją z tyłu w ramiona, że jakieś ręce owijają się w koło jej ciała. Straszny krzyk wydarł się z jej piersi i osunęła się nieprzytomna.

.....

Otworzyła oczy.

Służąca nacierała jej skronie eterem. Powoli wracała do przytomności.

— To ty, Kasiu? — przemówiła po chwili.

— Byłaby pani upadła, chwyciłam panią

w ostatniej chwili. Tak pani strasznie krzyknęła.

— Więc to ty pochwyciłaś mnie? — spytała prawie szeptem.

Jeszcze ciągle drżała, myśląc o tem, jak leżała tu w ciemności. Więc to nie on był.

— Ja, proszę pani.

— Jak mogłaś? Przestraszyłam się tak bardzo.

— Wchodziłam prawie i w samych drzwiach padła mi pani w ręce.

— A tak. Dobrze... Dziękuję ci.

Z trwogą rozejrzała się po pokoju. Wątle światło świecy kładło długie, czarne cienie po ścianach.

— Zapal lampę. Tę dużą lampę i świeczniki także. Chcę, aby było jasno.

— ...Dokąd idziesz?... Nie, nie... zostań tu przy mnie, moje dziecko. Widzisz, ja... — jąkała się — ja nie wiem, co to jest, ale boję się zostać sama... Taki duży pokój... Nie lubię takich wielkich pokoi... trzeba będzie zmienić mieszkanie... Tak, dobrze. Jeżeli chcesz, możesz sobie wziąć coś do roboty...

— ...Nie chodź nigdzie.

— Pójdę tylko do kuchni po fartuszeki.

— Ale zaraz wracaj.

Znowu zdawało jej się, że jest tu przy niej, że kryje się za szafą. Znowu ogarniało ją przerażenie.

— Kasiu! Kasiu!

— Już idę, proszę pani.

— Siądź tu na krześle i rób, co ci się podoba. Tylko nie odchodź nigdzie.

Służąca usiadła i zaczęła szyc.

Uspokoiała się trochę, ale lęk nie opuścił jej jeszcze, nie mogła się pozbyć uczucia trwogi. Zdawało się jej, że wśród ciszy, jaka panowała w pokoju, słyszy ciężki, powstrzymany oddech. Jak gdyby się ktoś czał w kącie.

Gniotła ją ta martwa cisza.

— Czemu nic nie mówisz? Siedzisz, jak niema... Mów przecie coś?... co chcesz, byleby nie było tak cicho.

— Dobrze, proszę pani.

— No, mówże, opowiadaj coś — wybuchnęła gniewem — trzeba się prosić, jak o łaskę,

— ...Pan Zygmunt to panią musiał bardzo kochać... Pani pewnie bardzo żałuje, że pan Zygmunt nie żyje... A wczoraj to był taki bardzo smutny, że aż mnie go żal było...

— Dlaczegoś mi nie powiedziała, że pan Zygmunt był tutaj wczoraj wieczorem? — zapytała gwałtownie.

— A bo pan Zygmunt prosił tak bardzo, żeby nic nie mówić. Powiedział, że wie, gdzie pani poszła i że pójdzie szukać pani...

Tak, wtedy już wiedział od Jana, gdzie ją znajdzie... i poszedł... szukać śmierci.

— Najpierw pan Zygmunt raz przyszedł, siedział bardzo długo i czekał. A potem przyszedł jeszcze drugi raz. Siedział tu, gdzie pani teraz siedzi, taki smutny, a jak weszłam do pokoju, zdawało mi się nawet, że płacze... i głos miał taki dziwny...

Tutaj siedział... Zwykle siadywali tu razem, rozmawiając przez długie godziny. Tu prosił ją, aby została jego żoną, tu pocałował ją po raz pierwszy... Pewnie myślał już o samobójstwie, kiedy tu siedział... i płakał... Nigdy nie widziała go płaczącego. Musiał być straszny, kiedy płakał. Już zawsze wtedy, kiedy się skarżył przed nią, był zdenerwowany, blady, zdawało się, że cała jego istota się szarpie i jęczy, ale głośno nie zapłakał nigdy... dopiero wczoraj... płakał może nad nią, że nie mógł jej wydobyć z brudu przeszłości...

— Musiało go coś bardzo zmartwić. Pewnie dlatego odebrał sobie życie. Szkoda pana Zygmunta, taki dobry był człowiek, nikomu nie powiedział złego słowa.

...Czemu on się nią opiekował?... Czego chciał od niej?... Chciał ją wprowadzić w nowe życie... Dlaczego?...

...A może jej wcale nie kochał, może tylko litował się nad nią i dlatego chciał jej podać zbawczą rękę. Dziwne, że jej to nigdy dotąd przez myśl nie przeszło... Z litości chciał ją wziąć za żonę... z litości, tak jak się żebrakowi daje z litości kawał czerstwego chleba... Nie potrzebowała jałmużny ani miłosierdzia... była zadowolona z życia, jakie dotąd prowadziła...

— Ja bo go bardzo żałuję. A panią tak bardzo kochał. I pewnie przyszedł wczoraj wieczorem ostatni raz się z panią zobaczyć.

...Kochał ją? Nie. Nie. Teraz była już prawie pewną, że jedyną pobudką jego czynów była litość... Jak śmiał litować się nad nią... Może nią nawet pogardzał w duszy, brzydził się?... Tak, to się często zdarza przy litości... I ona sama... kiedy chciała się opiekować temi brudnymi dziećmi, temi sierotami... brzy-

dziła się niemi prawie, ale z litości myła je i czesała. Jeszcze dzisiaj czuje wstręt, kiedy o tem myśli... A on kochał ją z litości. Zupełnie, jak gdyby była żebraczką, wyczekującą jałmużny...

...przyszedł się z nią zobaczyć po raz ostatni. Jak gdyby przyszedł powiedzieć: Dałem ci kawałek chleba, nie chciałaś w nim zasmakować odrazu, więc nie dostaniesz więcej... Kochał? Nie, nie! Doprawdy, zabawna ta Kasia, jak może przypuszczać coś podobnego... no, oczywiście, przecież o niczem nie wie. Nie wie, że jej panią obdarzano jałmużną...

— Pewnie jutro będzie pogrzeb. Pani pozwoli mi, że i ja także pójdę.

Pogrzeb! Zapomniała o tem zupełnie. Prawda! Przecież musi być na pogrzebie. Będzie się musiała wlec za trumną, wszyscy będą patrzeć na nią tak dziwnie, każdy wyczyta z jej czoła, że niewdzięczna żebraczka idzie za trumną dobroczyńcy...

Gdyby tak nie pójść... Może udać, że zachorowała, nie wstanie wcale z łóżka; tak, tak będzie najlepiej... Ale cóż Jan sobie o niej pomyśli?... Gotów przypuścić, że się boi, że

ma wyrzuty sumienia... Ach, i cóż ją to mogło obchodzić...

— Pozwoli pani, nieprawda?

— Idź sobie, gdzie ci się będzie podobało — odpowiedziała gniewnie.

Zamyśliła się...

.

— Pani dzisiaj nic nie jadła. Pewnie pani głodna? Może zapalić światło w jadalnym pokoju i nakryć stół?

— Jak chcesz, wszystko mi jedno.

Podniosła się, usiadła na sofie i wpatrzyła się w światło. Służąca wyszła z pokoju.

Tak będzie najlepiej. Nie wyjdzie jutro wcale z domu i nie będzie potrzebowała chodzić na pogrzeb, ani patrzeć na jego trupa...

A!... wzdrygnęła się... znowu jakiś szmer tam w kącie...

Odwróciła się i spojrzała w mroczny kąt pokoju. Znowu zdjęła ją szalona trwoga. Zdało się jej, że z każdego kąta wychyla się sina, skrwawiona twarz i patrzy na nią nieruchomem, trupiem spojrzeniem. Zimny dreszcz przebiegł jej ciało.

Znowu przyszedł... znowu będzie ją drę-

czył... i tak już zawsze przez całe życie. Zawsze będzie ją nawiedzał ten upiór, zawsze, w noc i we dnie. Chwili spokoju nie znajdzie. Wiecznie będzie ją prześladował.

Błądnie wpatrywała się w kąt pokoju.

— Czego chcesz — szeptała trwożnie — czego? Ja nie chcę, żebyś był przy mnie, słyszysz, idź sobie, idź precz! nie chcę twojej miłości, ani twojego miłosierdzia... Idź sobie, idź!...

Podniosła rękę i poruszała nią, jak gdyby odpędzała urojone widmo.

— Nie dotykaj mnie, słyszysz, ja nie chcę! — krzyczała zdławionym głosem — idź odemnie!

Cofała się w przeciwny kąt pokoju. Nogi chwiały się pod nią, odruchowo chwyciła za brzeg małego stoliczka, na którym stał zapalony świecznik.

— Precz! Precz! Nie patrz tak na mnie!

Oparła się ciężko na stoliku i przewróciła go. Świecznik upadł na ziemię, świece zagasty.

Krzyczała spazmatycznie, przerażenie dławilo ją, obezwładniało.

Zemdlała.

.....

— Pani musi być chora. Już drugi raz pani zemdląta. A może to z tego, że pani nic nie jadła?

— Wody... — z trudem odzyskiwała przytomność — daj mi szklanę wody.

— Nie odchodź — krzyknęła ze straszną trwogą.

— Chciałam przynieść wody.

Niepewnym krokiem, opierając się na ramieniu służącej, przeszła do drugiego pokoju.

Usiadła przy stole i wypita chciwie szklanę wody.

— Niech pani zje kawałek mięsa. Dopiero co przyniosłam z kuchni, jeszcze gorące. To panią skrzepi.

— Nie, nie będę. Podaj mi kieliszek wina. Może później będę coś jadła. Teraz nie mogę.

— ...Zapal jeszcze tamtą lampę! Żeby było jasno, wszędzie jasno!

— Poco się pani tak martwi. To niedobrze tak ciągle myśleć o jednym. Jeszcze się pani rozchoruje.

— Podaj mi jeszcze wina... Nie, zostaw flaszkę na stole.

Chciwie piła jeden kieliszek po drugim. Czują, jak zimno mrozące jej wszystkie członki

powoli ustępuje, a krew zaczyna żywiej krążyć.

...Żeby tylko nie zostać samotnie.

Chociaż czego ona się bała? Przecież duchów niema, zwidziało jej się tylko. Nie przypuszczała, że jest tak bojaźliwa: lada szelest przerażał ją, wprawiał w omdlenie... Aż wstyd. Co sobie służąca o niej pomyśli? Czego się bać, czego? Tylko ta twarz stała jej ciągle przed oczyma i patrzyła na nią tak strasznie. Dziwne, jak mogła sobie coś podobnego uroić. Gdziekolwiek spojrzała, ze wsząd patrzyły na nią te straszne, krwią nabiegłe oczy. Nie powinna była tyle o tem myśleć.

Ale teraz jest już spokojna, nie boi się już niczego. Jeżeli jeszcze przestanie o tem myśleć...

— Może się i ty, Kasiu, wina napijesz?

— Jeżeli wielmożna pani łaskawa...

— Nalej sobie, dziecko. Nie zwracaj na mnie uwagi, jestem dzisiaj strasznie rozdrażniona, a jeżeli przypadkiem powiedziałam ci jakie złe słowo, nie rób sobie nic z tego. Wiesz przecież, że cię lubię.

— E, nic pani nie powiedziała. Pani zawsze

dla mnie bardzo dobra. Już mi dawno nigdzie tak dobrze nie było, jak u pani.

Znowu na nią patrzył. Czyż jeszcze po śmierci musi ją dręczyć? Czy nigdy jego widmo nie zejdzie jej z przed oczu?

— A zresztą któżby tam dzisiaj i zwracał uwagę na to, co pani mówi. Mój Boże! takie nieszczęście panią spotkało. Tak go pani kochała, a on sobie teraz życie odebrał. Ja także nie wiem, coby się ze mną działo, gdyby mnie tak Pan Bóg doświadczył.

...Kochała. Czy ona go kochała? Nie, nie kochała go nigdy, miała dla niego wielką wdzięczność za to, że ją chciał wyzwolić z jej dawnego życia i nic, nic więcej. Przytem myślała, że chce to uczynić z miłości. Ale teraz wie już, że czynił to tylko z litości. Litował się nad jej losem... Jak śmiał... Musiała go nienawidzić za to... I teraz nawet, po śmierci nie daje jej spokoju. Jak gdyby miał do niej jakie prawa. Jak gdyby była obowiązana dochować mu wiary. Gdyby była jego żoną... tak, ale nie była nią jeszcze, nie miała żadnych zobowiązań wobec niego, była wolna, mogła robić, co jej się podobało.

...przeklęte urojenie... Jak on jej był nie-

nawistny. Gdyby żył jeszcze, zerwałaby z nim natychmiast. Mąż z litości. Nadzwyczajne.

...te oczy ciągle w nią wpatrzone... oh — wzdrygnęła się.

Mimowoli, nie myśląc o tem, podniosła do ust kawałek mięsa. Teraz dopiero poczuła, że głód szarpie jej wnętrzności. Przecież od rana nic nie jadła.

Krajała mięso i jadła łapczywie.

— Otóż-to, jak pani zje trochę, to zaraz będzie pani zdrowsza.

— Teraz rozumiem, dlaczego zemdlałam; wszystko wynikło z tego, że nic dzisiaj nie jadłam. Dopiero teraz czuję, jak jestem głodna.

— Biedny pan Zygmunt już dzisiaj nie potrzebuje nic jeść.

— Nie mów mi o nim więcej. Przecież widzisz, że mnie to rozdrażnia. To powinnaś chyba rozumieć.

Siadywał zawsze naprzeciwko niej, tam, gdzie Kasia teraz siedzi. Jedli szybko, wypijali po kieliszku wina i wracali do saloniku, aby dalej prowadzić przerwana rozmowę. Nie lubił mówić przy jedzeniu... Odtąd zawsze już sama będzie jadać. Nie będzie się

potrzebowała spieszyć, nikt jej nie będzie wyczekiwać.

Tylko ta straszna twarz będzie jej wiecznie towarzyszyć, uprzyjemniać obiady i wieczerze.

Ze wstrętem odsunęła talerz.

Wiecznie widzieć przed sobą to przekłętę martwe spojrzenie. I już nigdy nie zaznać spokoju. To straszne, straszne. Można oszaleć.

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

Drżała z przerażenia, myśląc o długich godzinach, które będzie musiała spędzać samotnie, o nocach bezsennych, w których nieodstępnie będzie stał przy jej łóżku.

— Ale pani naprawdę chora, trzęsie się pani jak w febrze. Może pójść po doktora?

— Nie, daj pokój, to zaraz przejdzie. Nalej mi jeszcze kieliszek wina, to mnie rozgrzeje.

Drżała, zęby szczękały jej jak w febrze.

— Najlepiejby było, aby się pani położyła do łóżka. Zaraz pościelę.

— Nie, nie! — krzyknęła strasznie.

Przeraziła się na myśl, że mogłaby się przebudzić w nocy i ujrzeć nagle przy sobie...

— Nie, spać mi się nie chce, zresztą boję się zostać sama... mogłabym zemdleć znowu.

— Posiedzę przy pani, dopóki pani nie zaśnie.

— Nie, nie chcę, nie chcę... To zaraz przejdzie. Jadłam za gwałtownie, to zapewne dlatego. Widzisz, już jestem spokojna — wypila jednym tchem kieliszek wina i starała się powstrzymać drzenie.

Och... jak on na nią patrzył. Nie zdoła tego znieść dłużej, oszaleje, oszaleje. Zakryła rękami oczy, ale mimoto widziała go przed sobą.

Uciec przed nim, uciec przed tem spojrzeniem. Gdyby mogła...

Nagle przemknęła jej przez mózg straszna myśl.

Zaczęła się śmiać głośno, spazmatycznie.

Ha, ha, ha, niech patrzy, niech idzie za nią, niech zobaczy! Że o tem zaraz nie pomyślała. Ha, ha, ha! Niech zobaczy, niech się przewraca w trumnie z boleści, ha, ha! Niech przyjdzie! Pójdzie i pomści się! Pomści się na tym nienawistnym upiorze. Teraz ona jego dręczyć będzie!

Zerwała się gwałtownie.

— Kasiu, prędko okrycie i kapelusz. Tylko prędko, prędko!

— Jakto? Pani wychodzi jeszcze? O tej godzinie?

— Słyszysz przecież.

— Niech pani nie chodzi nigdzie. Już tak późno. Zaziębi się pani.

— Prędszej, prędszej!

— Paniusiu droga! ja wiem, gdzie pani chce iść. Do niego, pewnie do niego. Ale niech pani nie chodzi tam teraz. Niech pani nie idzie teraz do pana Zygmunta! Pójdzie pani jutro. Niech się pani teraz położy, uspokoi...

Ha, ha! To także zabawne. Ha, ha, miałyby iść do niego. Czyż nie dosyć ją jeszcze dręczy.

— Moja droga, kochana pani — prosiła służąca błagalnym głosem.

— Uspokój się, dziecko. Nic mi się złego nie stanie. Podajże mi okrycie. No, nie bój się, tam nie pójdę. Nie miałam wcale takiego zamiaru. Odprowadzisz mnie do doróżki... Pojadę do panny Zofii... może tam nawet przez noc zostanę.

Ha, ha, ha! Niech zobaczy, niech się ucieszy tym widokiem. Ha, ha! Niech idzie za nią! Tam! Do niego!

Zarzuciła okrycie na ramiona i szybko wyszła z pokoju. Ciągłe jeszcze drżała, ale już nie trwogą, nie, chęcią zemsty.

Doróżka potoczyła się szybko przez ulice.



Bogu dzięki! Świeciło się, a więc jest w domu.

Zapłaciła woźnicy i podeszła do bramy.

Nagle wzdrygnęła się.

Przypomniała sobie, że stał tu wczoraj i czał się jak złodziej pod ścianami domów. Zdało jej się, że widzi go, o tam, w załomie muru, jak kryje się i wżera się jej w duszę palącym spojrzeniem.

Nieprzytomna biegła po schodach. Czowała, jak się za nią skrada, zacisnęła z wściekłością zęby i szeptała zawzięcie:

— Niech idzie, niech zobaczy, nacieszy się!

Nacisnęła gwałtownie dzwonek elektryczny. Słyszała jego silny, metaliczny dźwięk i naciskała coraz silniej, potem usłyszała wewnątrz w pokoju przyspieszone kroki.

— Kto tam?

— Ja! Otwórz! Prędej!

Znowu widziała tę bladą twarz w każdym zakątku ciemnego korytarza.

Bez tchu wbiegła do pokoju i rzuciła się na krzesło. Oddychała gwałtownie i ciężko; dreszcz trwogi wstrząsał ciągle jej ciałem.

— Miałem jakieś przeczucie, że przyjdiesz do mnie. Umyślnie zostałem w domu. Choć właściwie miałem załatwić dzisiaj jeszcze niejedno.

Więc mogła go była nie zastać. Straszna myśl. Ale teraz już wszystko dobrze.

Pomógł jej zdjąć okrycie i kapelusz. Potem posadził ją na kanapie i usiadł przy niej.

— Nie wyobrażasz sobie, jak mnie to cieszy, że cię widzę. Tęskniłem po prostu za tobą. Aleś zziębła strasznie. Zaraz każę nastawić samowar. Drżysz cała z zimna.

Czyżby on o niczem jeszcze nie wiedział, czyżby nie domyślał się, co się stało? nie domyślał się, dlaczego tak drżała?

— Miałem wielką ochotę odwiedzić cię dzisiaj popołudniu, ale rozumiesz chyba, że spotkanie z twoim przyszłym mężem nie byłoby dla mnie bardzo przyjemnem.

Więc nie wiedział jeszcze o niczem.

— Żałuję, że nie przyszłam wcześniej do ciebie. On — z trwogą rozejrzała się po pokoju — nie był dzisiaj wcale u mnie.

Nareszcie przestała ją dręczyć ta ohydna zmora. Patrzyła śmieiej przed siebie.

— Nie wiedziałam, co robić wieczorem i przyjechałam wreszcie tutaj.

— Dziękuję ci, moja słodka. Nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwy, żeś do mnie przysła.

— O ja także.

— Przytem dostałem dzisiaj telegram z domu, jutro wieczorem muszę wyjechać na wieś, potem wprost pojedę dalej i pewnie nie prędko się zobaczymy.

— Więc stanowczo masz zamiar jechać w tym roku do Paryża?

— Muszę, chociażbym nie chciał. Trzeba już raz skończyć tę nudną rozprawę. Nie przypuszczałem jednak, że to tak prędko nastąpi. Chciałem tu posiedzieć jeszcze kilka tygodni.

— Więc wyjeżdżasz jutro? — zapytała niemal z rozpaczą.

— Tak.

Z trwogą myślała o tem, że jutro nie będzie się miała gdzie schronić, że on odjedzie jutro i zostawi ją samą, samą z dręczącemi myślami, samą z tym upiorem.

— A gdybym cię bardzo prosiła, żebyś

tu jeszcze kilka dni pozostał, kilka dni, którebyś wyłącznie mnie poświęcił, czy nie zrobiłbyś tego dla mnie, nie zmieniłbyś zamiaru? — Mówiła głosem drżącym, pochylając się pieścząco ku niemu.

— Ostatecznie może i mógłbym to zrobić. Ale poco to? Przecież i tak nie będę cię mógł widywać, z nim nie chcę się spotkać, a wątpię, abyś każdego wieczora znalazła dla mnie kilka wolnych chwil.

Zakłopotana się, nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

— Bo wiesz... zapomniałam ci powiedzieć, że... że... — zająknęła się — że on wyjechał dzisiaj...

— Wyjechał? I na długo?

Straszne pytanie.

— To znaczy... właściwie... — mówiła, miesząc się coraz bardziej — nie powiedział dokładnie, kiedy wróci... ale... ale przypuszczam, że zabawi kilka dni.

Żeby się tylko nie zdradzić przed Adolfem. Nie wiedziała dlaczego, ale nie chciała mu tego powiedzieć. I tak na czas jeszcze dowie się o wszystkim. Dlaczego miałyby dzisiaj-

szy wieczór zatruwać temi bolesnemi wspomnieniami. Dlaczego?

Nowa myśl zaświtała jej w mózgu.

— O tak, bezwątpienia... Przypuszczam, że nie prędzej powróci, jak za tydzień...

Dławiła się każdym słowem.

— No rozmyśl się, mój najdroższy, powiedz, że zostaniesz. Mam przepyszny pomysł. Jutro wczas rano wyjedziemy na wieś i przez cały tydzień będziemy ciągle razem, sami dla siebie. Prawda, że się zgadzasz?

Zarzuciła mu ręce na szyję i całowała go namiętnie.

— Dla mnie to zrobisz. Chciałabym na kilka dni uciec z miasta, a sama nie pojadę... Jutro raniutko, dobrze? Zostanę tutaj przez noc. Nie będę brać żadnych rzeczy.

— Bardzo mi się twój plan podoba. Owszem jeżeli ci to sprawi przyjemność, bardzo chętnie zostanę. Zatelegrafuję do domu, że teraz przyjechać nie mogę i urzeczywistnimy twoje plany... Ale prawda. Jeszcze jedno. Chcesz, abyśmy jechali jutro, otóż widzisz, jutro bezwarunkowo jechać nie mogę. Mam załatwić kilka spraw, które nie cierpią zwłoki.

— I nawet dla mnie nie mógłbyś ich odłożyć? Gdybym ci powiedziała, że mi niezmiernie wiele na tem zależy, aby jutro rano wyjechać?

— Nie, moja Dziuniu. Wiesz, że cię bardzo kocham i gdybym mógł, zrobiłbym wszystko dla ciebie, ale tego nie mogę.

— Więc nie pojedziesz jutro ze mną?

— Nie, jutro stanowczo nie. Jeżeli możesz jeszcze jeden dzień poczekać, pojedę z największą chęcią, jutro stanowczo nie mogę.

Taka szczęśliwa myśl. Wyjechałaby wczas rano, nie myślałaby o nim, Adolf nie dowiedziałby się o niczem, a przez tydzień uspokoiłaby się, zapomniała. Jaka szkoda, że Adolf jutro jechać nie może. Znała jego stanowczość i wiedziała, że niczem nie zdoła go skłonić, aby zmienił zamiar.

— Ale jutro przyjdiesz do mnie — spytała nagle — i zostaniesz przez cały dzień?

— Może wstąpię na chwilę, długo nie będę mógł zostać. Chcę jutro wszystko tak uprządkować, abym po powrocie ze wsi, jeżeli w ogóle pojedziemy, mógł natychmiast jechać dalej. No oczywiście przyjdę na godzinę lub na dwie, ale za więcej nie ręcę.

Więc znowu będzie jutro sama. Jutro.

W ten straszny dzień, jego pogrzebu.

Nie, nie, ona nie pójdzie za jego trumną raczej narazić się na wszystko, niż wlec się przez ulice z piętnem hańby na czole, za trupem człowieka, który z jej winy życie zakończył. Co zrobić? co zrobić? Pojechać na wieś? Tam jeszcze większa pustka, jeszcze straszniejsza samotność. Tu w mieście łatwiej zagłuszyć zgryzoty i rozpacz, tu ma znajomych, przyjaciół, Adolfa, a tam nikogo. I tylko jutro jeszcze, tylko ten jeden dzień; pojutrze pojedzie na wieś, zapomni, uspokoi się, będzie szczęśliwa.

— Ale pojutrze pojedziesz ze mną?

— Powiedziałem ci już, że z największą przyjemnością. Zaręczam ci, że wolałbym i jutrzejszy dzień spędzić z tobą na wsi, niż gonić po mieście, ale to niemożliwe. A więc nie gniewaj się moja najdroższa. Pojutrze wyjeżdżamy.

Nalał herbatę do filiżanek i podał jej i sobie.

Oboje pili w milczeniu.

— Czy jadłaś już kolację?

— Dziękuję ci.

— Cóż Dziunia robiła dzisiaj przez cały dzień.

— Co robiłam? — zamyśliła się — ot, to samo co zwykle.

— Zdawało mi się, że jesteś dzisiaj smutniejsza. Sądziłem, że cię coś przykrego spotkało.

Czyżby cośkolwiek przypuszczał? Zadrżała. Obmyślała każde słowo, aby się przypadkiem nie zdradzić.

— Nie. Cóżby się stać mogło? Ależ nie. Była wieczorem trochę cierpiąca, miała silny ból głowy, zemdląca nawet. Ale to już przeszło. Teraz jest już zupełnie zdrowa, tylko trochę zmęczona.

— W każdym razie jesteś smutna. Trzeba na to zaradzić. Jak sądzisz? Możebyśmy się napili czegoś?

Oh tak, pić i zapomnieć o wszystkim, co ją dręczyło. Jakie to szczęście, że tutaj przyszła. Leżałaby teraz w domu, strwożona, zrozpaczona; ten ohydny upiór odganiałby sen od jej powiek. Oh tak, pić i zapomnieć.

— Znakomita myśl. Masz koniak?

— W tej chwili przyniosę.

Ha, ha, niech przyjdzie teraz, spojrz mu

śmiało w te przeklęte, nienawistne oczy; niech przyjdzie i patrzy, jaka jest szczęśliwa, zadowolona. Teraz się go już nie boi. Adolf będzie ją bronił, Adolf da jej odwagę i chęć do życia.

Postawił na stole flaszkę koniaku i napełnił kieliszki.

— Pijmy i weselmy się!

— Za zdrowie miłości, Dziuna, naszej miłości!

Trącili się kieliszkami.

— Na szczęśliwy pobyt na wsi!

Czuła, jak każdy kieliszek koniaku wlewa jej ogień w żyły, rozplómienia skronie i daje jakąś dziwną błogość. Zapomniała zupełnie od dręczących ją widmach, zapomniała o smutku i rozpaczcy całego dnia, czuła tylko jakieś upojenie, jakąś wielką rozkosz.

Coraz chciwiej piła.

Siedziała z rozognioną twarzą i patrzyła śmiało przed siebie. Była szczęśliwa, że nie widzi już tej urojonej twarzy, że nie potrzebuje myśleć o nim. Tylko czasem przemknęło jej przez mózg jakieś niejasne wspomnienie tego, co się stało, ale wnet zapominała znowu o wszystkim.

Ciągle napełniał jej kieliszek i zachęcał ją do picia.

— Nie, nie, już nie mogę. Jestem przecież pijana.

— Jeszcze ostatni kieliszek. Nie wypitaś jeszcze za moje zdrowie.

— Ale to już ostatni. Więc za twoje zdrowie, ty, ty mój!

Zaśmiała się głośno.

Niech teraz przyjdzie, niech patrzy! ha, ha, ha!...

— No a twoje zdrowie, Dziuna?

— Nie, Ada, już nie będę... nie... już nie chcę... Tak mi się chce spać... już nie będę.. wypij ty sam...

Ogarniała ją senność.

Wychylił kieliszek i chciał jeszcze podtrzymać rozmowę.

— A więc pojutrze jedziemy, Dziuniu?

— Pojutrze — powtórzyła sennie.

Wyciągnęła się na kanapie, rozpięła stanik i próbowała zasnąć.

— Śpisz? — zapytał. — Niedobra Dziuna. Zrobiłem dla ciebie ustępstwo, odwlekam wyjazd, porzucam obowiązki, a ty nie podzięku-

jesz mi nawet. Niedobra Dziuna, no podzię-
kować! Chodź, pocałuj!

— Chodź tu do mnie. Nie mogę się ru-
szać, głowa mi tak cięży. No, chodź!

Zarzuciła mu ręce na szyję i całowała go
długo namiętnie.

On objął ją ramieniem i odwzajemniał jej
pieszczoty.

Czuła się szczęśliwą, że mogła tu leżeć
na kanapie, że mogła go całować, pieścić...

.....

Wczoraj całowała taksamo tamtego.

.....

Przekłete myśli, znowu wracają. Wczoraj
tamtego tak samo pieściła.

.....

— A!... nie! nie!

— Dziuna?!

Z szaloną siłą tuliła się do niego, aż jej
to ból sprawiało. Wytrzeźwiała zupełnie.

A!...

Znowu na nią patrzył. Więc i tu za nią
przyszedł. Ten straszny wzrok, który zdawał
się miażdżyć jej biedną, zbolałą głowę.

— Dziuna! uspokój się, co się z tobą dzieje.

— Nic, nic... oh, jak on patrzy...

— Kto, Dziuna? Tu niema nikogo prócz nas.

— On jest tutaj, on! Czyż nie widzisz jak się wżarł we mnie spojrzeniem... Precz! precz!

— Ależ Dziuna, kto taki? — mimowoli spojrział z przestachem we wskazaną stronę.

— On, Zygmunt — szepnęła — Boże, Boże! jak on na mnie patrzy.

— Co ci się zdaje?!

— Ada! ratuj mnie, broń mnie przed nim; ja oszaleję, Ada! Przez cały dzień mnie męczył, uciekłam przed nim, a on i tutaj za mną przyszedł.

— Mówiłaś przecież, że Zygmunt wyjechał. Zresztą tutaj nie ma nikogo.

— Skłamałam — wyszeptała — skłamałam, on nie żyje.

— Co? — odsunął się od niej, jak gdyby odtrącony jakąś tajemną siłą — Jakto?

— Zastrzelił się. Nie chciałam ci mówić przedtem. Myślałam...

— Czy wiesz dlaczego?

— Dowiedział się, że byłam wczoraj u ciebie. Przez całą noc czekał tu przed bramą,

przez całą noc. Ada, broń mnie przed nim, ja się tak strasznie męczę.

— I pomimo to przyszłaś dzisiaj tutaj — spojrzał na nią zdumionym wzrokiem — dzisiaj — powtórzył — po tem, co się stało?!

— Gdzie miałam się schronić przed nim, Ada! mój Ada! Gdybyś ty wiedział? Myślałam, że tutaj nie przyjdzie za mną. Ale odszukał mnie, stoi tam... tam... — mówiła, dysząc coraz większym przestachem. — Widzisz, tam... koło drzwi — szeptała — tam stoi blady, skrwawiony...

Wpatrywał się we drzwi przerażonym, osłupiałym wzrokiem.

Zerwała się nagle z kanapy, skoczyła ku niemu i ukryła głowę na jego piersi. Drgnął gwałtownie.

— Ada! ty się go także boisz! Nie patrz tak ciągle na drzwi... na niego... Uciekajmy stąd... Ada! uciekajmy!!

Chciał ją odsunąć od siebie, ale z szaleństwem uczepiła się jego ramion.

— Musisz stąd odejść. Nie możesz tu zostać dłużej — mówił oziębło, prawie z przymusem. — Stróż sprowadzi ci dorożkę.

— Ada! Ada! — krzyczała przerażona —
nie odpychaj mnie, zmiłuj się nademną.

— Byłoby to może oryginalne, gdybyśmy
tu pozostali oboje i on trzeci, ale ja nie ży-
czę sobie tego. Dlatego też nie pozwolę, abyś
tu została.

— Więc wyrzucasz mnie na ulicę. Ada!
ulituj się nademną. Nie, nie, ja stąd nie pój-
dę, nie ruszę się nigdzie.

— W takim razie zmuszasz mnie, abym
się stąd oddalił i nocował w hotelu. Jeżeli
ci na tem tak bardzo zależy...

— Ada! nie opuszczaj mnie. Czy nie masz
ani odrobiny litości?

Chciała mu się rzucić na szyję, ale ode-
pchnął ją prawie brutalnie.

— Proszę cię bardzo, namyśl się, czy
chcesz wrócić do domu, czy zostajesz tutaj?

Opanowała się i mówiła z szyderstwem.

— Więc rzeczywiście odejdziesz, jeżeli tu
zostanę?

— Tak.

— Więc tchórzysz, ty mężczyzna!

— Tu nie chodzi o tchórzostwo, ale o te
resztki szlachetnych uczuć, jakie człowiek
jeszcze gdzieś na dnie duszy posiada. Chcia-

łaś je pogwałcić w najbrutalniejszy sposób i ja miałem ci w tem pomagać.

— Ha, ha, ha, czy i wczoraj myślałeś o nich, kiedy błagałeś mnie, abym przysłała do ciebie? Czy dzisiaj może, kiedy witałeś mnie z taką radością? Jesteś nikczemnym tchórzem i pozorną szlachetnością chcesz zakryć swój wstyd.

— Skończmy tę rozmowę. Więc chcesz pozostać tutaj?

— Nie obawiaj się, nie będę ci się narzucała, nie narażę cię na wizye umarłych albo sny przykre.

— Każę ci przywołać dorożkę.

— Nie potrzeba. Czy myślisz, że wrócę do domu, aby umierać pod grozą jego wzroku i męczyć się dalej? U ciebie szukałam schronienia. Wyganiaasz mnie, jak psa na ulicę... więc pójdę... na ulicę... na bruk... pójdę się tarzać w brudzie i szukać zapomnienia.

Zwróciła się ku drzwiom.

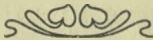
Chciał ją pożegnać, więc podszedł kilka kroków i wyciągnął ku niej rękę.

— Precz! Nie dotykaj mnie. Twoja ręka mogłaby się splamić od mojej dłoni krwią i brudem. Skalałyby się resztki szlachetnych

uczuc. Precz! Znajdę jeszcze takich, którzy
mnie przygarną; wśród rozkoszy zapomnę
o upiorach...

.

Wybiegła w noc ciemności i szалу, w noc,
która ją miała przygarnąć.



MOCZAR

1850

W złotej kąpeli promieni słonecznych igra i mieni się zielony moczar; tysiącem niebieskawych, lśniących ocz spogląda w niebo; włosy splótł w misterną tkanę powikłanych łodyg. Wielkie liście zaścielają jego powierzchnię brudno-żółtym kobiercem, wzorzystym, przetykanym purpurowemi i żółtymi kielichami kwiatów.

Na dnie moczaru kłęb uspionych boginek. Sen zmożył znużone żarem długiego dnia. Wydają się nieżywe; tylko obwisłe, grube piersi falują niespokojnym ruchem. Długimi, miękkimi ramionami obejmują łodygi podwodnych pnączów.

Wielka cisza letniego popołudnia. Zdaje się, że niebo i ziemia zasnęły. Tylko woda moczaru kołysze się lekko, wstrząsana drganiem śpiących piersi.

W dali majaczy postać wiejskiego chłopca. Porusza się wolno, sennie. Cicho się skrada przez kępy nadbrzeżnych zarośli. Czasem ze-

schła gałąź załamię się z trzaskiem pod jego nogą; wtedy staje, wstrzymuje oddech w piersi i czeka. Po chwili idzie znowu, Teraz przyspiesza, pewnym krokiem stąpa po rozmięklej ziemi, spieszy się, aby jaknajprędzej stanąć nad brzegiem topieli.

Jeszcze kilka kroków.

Zielony moczar spogląda na niego, tysiącem niebieskawych, lśniących ocz — spojrzeniem ciekawości i grozy.

Chłopak wżera się wzrokiem w podwodne cuda, nie widzi nic prócz boginek, uśpionych żarem długiego dnia. Białe ciała świecą olśniewającym blaskiem, piersi i łona falują cicho, oczy zasunięte długimi powiekami.

Chłopak syci się ich widokiem, stoi nieruchomie, zatrzymał odech w piersi, usta jego rozpalone, drżące, rozchylają się pragnieniem.

Patrzy.

Jedna z boginek porusza się przez sen.

Wyciąga ramię, nieświadomie szuka czegoś w wodnej głębi i obejmuje miłosnym uściskiem ciało siostry.

Powierzchnia wody marszczy się łagodnym kręgiem, potem wszystko znowu wraca do spokoju.

Chłopiec posuwa się jeszcze bliżej. Bose nogi dotykają niemal wody.

Stoi i patrzy.

Nad nim olbrzymia półkula dogasającego żaru, słońce rozczzerwienia się blaskami zachodu i rozpala na stropie nieba pożarne łuny.

Woda znowu zatacza lekkie kręgi.

Cicho, sennie, jak potworne widmo, przesuwa się ciało topielca, zczerniałe, rozdęte ciało. Powoli przepływa przed oczyma chłopca; na chwilę przysłania mu śpiące, potem płynie dalej cicho, sennie i znowu cisza.

Teraz chłopiec pochyla się nad topielą.

Jakgdyby chciał skoczyć ku leżącym na dnie ciałom.

Pręży się, jak żbik przysadza się do skoku... oczy utkwione ciągle w biel ciał. Zapatrzył się w tę, która leży najbliżej niego, w tę, która wyciągała przed chwilą ku niemu pożądaną pieśczętą ramiona.

Już, już, skoczy...

Zielony moczar uśmiecha się do niego tyśiącem niebieskawych, lśniących ocz... uśmiechem pokusy i zdrady...

Boginki się budzą.

Budzi je łagodny chłód wieczoru.

Już poruszają się, podnoszą, otwierają oczy, zasunięte pierwaj ociążałemi snem powiekami, wyciągają ramiona, któremi obejmowały pierwaj w marzeniu sennem podwodne łodygi.

Woda kołysze się, faluje.

Chłopak cofa się nagle i odbiega od brzegu.

Ogląda się raz jeszcze i ucieka.

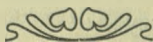
— Dziadulo mówili, że ich pokusom nikt się nie oprze, do kogo przemówią, zostaje z nimi na wieki.

Chłopak oddala się coraz bardziej.

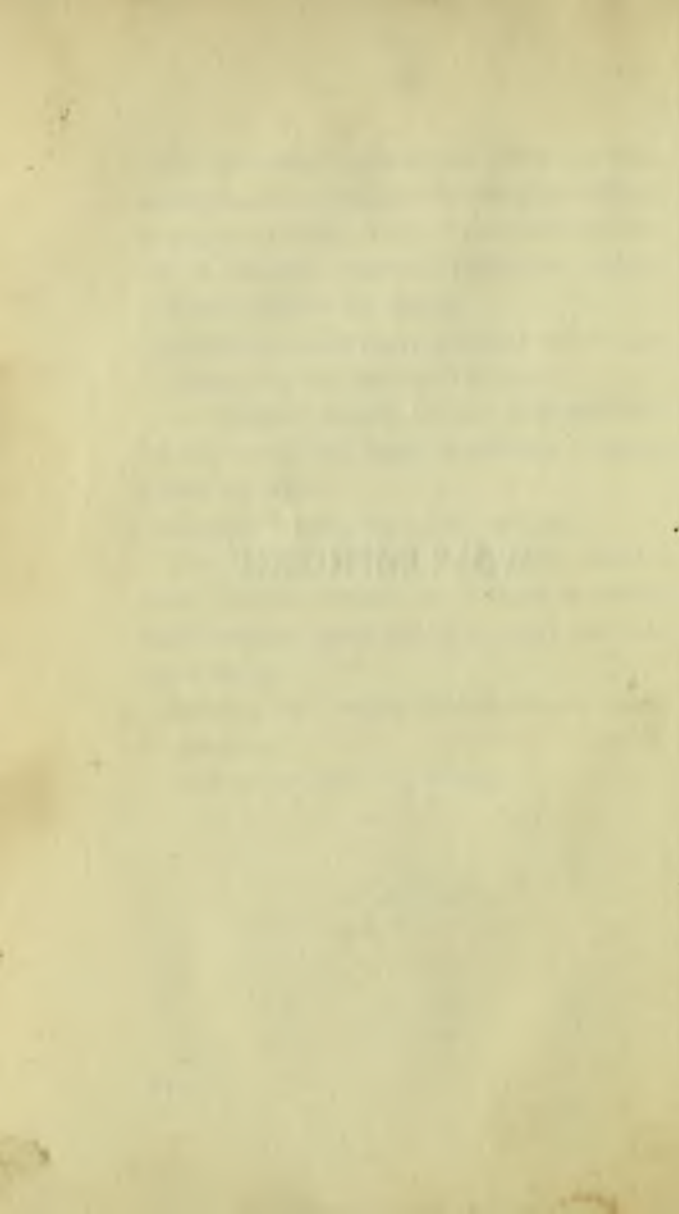
Idzie drżący rozkoszą, jakgdyby dopiero przed chwilą wyrwał się z objęć kochanki, idzie smutny, jakgdyby już nigdy nie miał jej zobaczyć.

Ale nie... nie. Jutro przyjdzie znowu, znowu je zobaczy.

Zejdzie do nich — do niej...



WSPOMNIENIE



Zaczynało go to już gniewać!

Czego ten człowiek chciał od niego? Kazał mu się zastanawiać? Nad czym? po co? Czyż nie wolno mu było żenić się z tą lub ową, jeżeli tak postanowił? Po co ktoś mieszał się w jego sprawy. Miłość? Tylu ludzi żeni się bez miłości, a mimo to są szczęśliwi. Cóż lepszego mógł wybrać? Z przeszłością nic go nie wiązało. Przeszłość? Garść wrażeń, złud, wybryków młodości, nic więcej. Przyszłość? Spokojne, ciche życie, rodzina, majątek; czyż to nie dosyć? Zastanawiać się? Ale nad czym? nad czym?

Porwał się z krzesła i mówił prawie z gniewem:

— Wiesz, Kazek, wyświadcysz mi rzeczywiście łaskę, jeżeli przestaniesz o tem mówić. Jest przecie tyle innych rzeczy. Czemu koniecznie o tem mówić?

— Zdawało mi się, że jako przyjaciel...

— Otóż w imię tej przyjaźni, o której

mówisz, jeszcze raz cię proszę, nie mówmy już o tem. Być może, że i mnie samego czasem gryzie to i dręczy, ale już zapóźno... nie mogę cofać danego słowa... zresztą nie chcę... znasz mnie chyba pod tym względem.

— Kto wie, czyby nie było lepiej...

— Pozwolisz, mój drogi, że sam będę o tem rozstrzygać.

— Możesz się jeszcze namyślić; czemu masz ją i siebie unieszczęśliwiać.

— Tak sądzisz?

— Tak, i właśnie dlatego chciałem...

— Teraz już doprawdy dosyć. To po prostu nie do zniesienia. Bądź łaskaw już raz przestać!

Przez chwilę milczeli obaj.

— Cała przeszłość — zaczął Karski, jak gdyby kończąc prowadzoną z samym sobą rozmowę — wydaje mi się tak pustą, tak ciemną. Niema w niej nic, coby jak klejnot jakiś świeciło wspomnieniem. Nic prócz pustki i nudy. Teraz będę miał coś przynajmniej, jakiś cel w życiu.

— Dziwne to, co mówisz.

Zamiast odpowiedzi poruszył niechętnie ręką.

Znowu zapanowało milczenie.

— Będziesz jutro w kasynie? — zapytał
Każmierz po chwili.

— Oczywiście. Przecież Zofia się wybiera.

— Zabawa dobrze się zapowiada, o ile dziś
słyszałem.

— Mówiono mi już.

— Spotkasz mnóstwo znajomych. Pani
Olga idzie także.

— Bardzo się cieszę, dawno już jej nie
widziałem.

— Byłem u niej przed godziną; cały dom
przewrócony, wszędzie stroje, kostyumy... Ale
à propos pani Olgi, czy wiesz, że Hania Or-
wicz przyjechała? Zapewne nie jeszcze, bo
zajęty narzeczoną...

— Kto? — wpatrzył się w Każmierza
zdziwionym wzrokiem. — Hania Orwicz przy-
jechała? — powtórzył bezmyślnie.

— Czy cię to dziwi?

— Hania?!... Nie, dlaczego miałoby mnie
dziwić.

Uporczywie wpatrywał się w Każmierza.

— Nie, tego nie przypuszczałem.

— Przyjechała z matką przed dwoma dnia-
mi. Spotkałem je na ulicy. Niemal piękniej-

sza jeszcze niż dawniej. Tylko przybladła trochę.

— Ciekawe... Nie... żartujesz chyba...

— Ależ bynajmniej.

Karski nagle porwał się gwałtownie.

— Czy mówiłeś im?

— Co takiego?

— Nie, nie.

Opanował się i starał się mówić spokojnie.

— A prawda... tak... więc przyjechała... tak... to zabawne... A cóż powiedziała pani Olga, dowiedziawszy się o moich zaręczynach? — mówił wymuszonym głosem, siląc się na ton obojętny. — Zapewne zdziwiła się bardzo.

— Nikt nie wie jeszcze o niczem.

— Jakto? — wykrzyknął niemal z radością.

— Przecież prosiłeś mnie w liście, abym nie mówił nikomu o twoich zaręczynach, póki się z tobą nie zobaczę. Nie wiem, dlaczego robisz z tego tajemnicę, ale zastosowałem się do twego życzenia. Co prawda, przypuszczałem zrazu, że chcesz posłuchać mojej rady, tymczasem dzisiejsza rozmowa...

— Więc nikt jeszcze nie wie! — odetchnął głęboko, jak gdyby zmora jakaś zwolniła jego piersi z uścisku, którym gniotła je pierwej. Ostatnich słów przyjaciela nie słyszał prawie.

— Nie — odparł Kaźmierz.

— Dziękuję ci, bardzo ci dziękuję.

Serdecznie uściśnął mu rękę.

— Wątpię, czy zrazu zechcą w to wierzyć. Ja sam byłem niezmiernie zdziwiony, przeczytawszy twój list. Przyszło to tak niespodziewanie. I gdybyś mi sam nie był teraz powtórzył tak stanowczo, kto wie, czy dałbym wiarę.

— Tak, rzeczywiście trudno w to uwierzyć — mówił zamyślony — dziękuję ci, bardzo dziękuję...

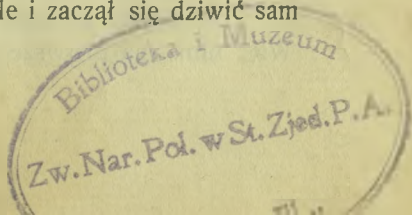
— Czy i nadal mam zachować tajemnicę? — pytał Kaźmierz.

— Co takiego?... A tak, tak, jeszcze przez kilka dni... bardzo cię proszę.

Znowu się zamyślił.

Hania przyjechała. Jakże to dziwne. Hania. Jego Hania. Jak gdyby ją widział przed sobą.

Otrząsnął się nagle i zaczął się dziwić sam



sobie, że ta wiadomość wywarła na niego tak wielkie wrażenie.

Cóż go to mogło obchodzić.

Przyjechała? Cóż w tem dziwnego? Małoż to ludzi przyjeżdża i odjeżdża. I żeby go ta wiadomość mogła tak rozdrażnić. Dziwne. Jakiś odruch nerwowy, wrażenie chwili, skoro człowiek usłyszy coś niezwykłego, niespodziewanego. Ale to już przeszło. Jest już spokojny.

— Gdzie pani Orwiczowa mieszka? — zapytał prawie obojętnie. — W hotelu?

— Czy chcesz je odwiedzić.

— Zapewne. Czyż ja wiem zresztą? Zналиśmy się tak dobrze, bywałem u nich. Właściwie wypadałoby pójść do nich.

— Mieszkają u jej brata. Znasz przecież tego starego zręde. W tym samym domu, gdzie pani Olga.

— Więc u niego mieszkają.

— Ja bo nie cierpię tego człowieka. Pamiętasz, jak ostatnim razem na wieczorze u pani Olgi popsuł nam całą zabawę swoimi niesmacznymi konceptami...

— Tak, tak, przypominam sobie trochę... Więc tam... na pierwszym piętrze?

— Na pierwszym.

— Czy mówiłeś z niemi?

— Spotkałem je dzisiaj na ulicy i odprowadziłem do domu. Pytały się o ciebie.

— Jakto pytały?

— To znaczy, pani Orwiczowa dowiadywała się, co się z tobą dzieje.

— Tak... Trzeba będzie odwiedzić je.

— Ja sam żałuję, że mam tak mało czasu.

— A czy nie wiesz przypadkiem, kiedy można je zastać w domu?

— O, w domu bywają dość rzadko. Przyjechały ze wsi, więc cały dzień załatwiają sprawunki, do domu wracają nieraz późnym wieczorem. Panna Hania, o ile nie wychodzi, siedzi prawie przez cały dzień u pani Olgi. To też tam najłatwiej możesz ją spotkać. Unikniesz przytem tego nieznośnego brata Orwiczowej, który jak smok z bajki rzuca się na gości i zanudza...

— Dziękuję ci. Prawdopodobnie pójde do nich.

...Że też Hania musiała właśnie teraz przyjechać; to może człowieka doprowadzić do wściekłości... Więc pytali się o niego... może i ona pytała... Gdyby rzeczywiście nie zapo-

mniała o nim i zaczęła mu teraz robić wyrzuty, w przeddzień ślubu... Miła historia. Oczywiście; w takim razie nie obejdzie się bez płaczów, bez rozpaczliwych spojrzeń... Miła historia, niema co mówić... Niech djabli wezmą.

— Tak, jestem ci serdecznie wdzięczny za tę wiadomość; nie wyobrażasz sobie nawet, jaka to dla mnie wesoła nowina. Cieszę się tak bardzo, że doprawdy nie umiem wyrazić mojej radości. Rzeczywiście, niezmiernie się cieszę — mówił z szyderstwem. — I zapewne będą jutro w kasynie. Oczywiście, że będę.

— Stary, jak słyszałem, kupował jakieś bilety, więc pewnie pójdą.

Oczywiście. Jakże można było wątpić. Jeszcze tylko tego brakowało. On z narzeczoną i Hania. Istotnie, coraz lepiej. I niema sposobu uniknąć tego. Nie można się wymówić.

— Ty oczywiście nie odstąpisz narzeczonej ani na chwilę? — pytał Kazmierz.

— Prawdopodobnie — odparł obojętnie.

— W każdym razie uważaj, abyście zbytnio nie zwracali uwagi. Jeżeli chcesz utrzymać w tajemnicy...

— Proszę cię, nie drażnij mnie. Co to może kogoś obchodzić?

— Sam przecież mówiłeś...

— Mówiłem, czy nie mówiłem, teraz nie chcę o tem słyszeć. I absolutnie nikomu nic do tego, co robię.

— Czemu unosisz się zaraz?

— Słuchaj, tego już doprawdy za wiele. Oszczędź mi dalszych uwag, wszak wiesz, że i tak z nich nie skorzystam. Prosiłem cię, żebyś nie mówił o tem, a ciągle wracasz do tego tematu.

Odwrócił się z gniewem od niego i spojrział ku oknu.

Krople deszczu miarowo uderzały o szyby. Dzień był dziwnie ponury.

Patrzył i myślał o tem, co minęło, już dawno minęło. Przypomniawszy sobie, jak w podobną dżdżystą i chmurną noc odprowadzał Hanię do domu. Ulice były puste i głucho, tak samo jak dzisiaj mżył ustawicznie drobny, zimny deszcz. Szli przed siebie, zapominając, dokąd idą, długo błądzili po ulicach, oboje rozdrażnieni, rozgorączkowani. Ona nie chciała iść do domu, bo pragnęła jak najdłużej przy nim pozostać, bo kochała go. Kochała go

i nie śmiała mu tego powiedzieć. Szedł obok niej ponury, zgniewany, ale pragnął porwać ją w ramiona i przycisnąć do piersi.

...Jak ją wtedy dręczył. Każdem słowem powoli, z rozmysłem targał jej serce, odpowiadał bezlitośnem szyderstwem na miłością przepojone słowa. Tuliła się do niego niby trwożne, zalęknione dziecko, każdym ruchem wyznawała mu swoją miłość. A on nie chciał zrozumieć jej wyznania, nie zważał na nie, przeciwnie ustawicznie wymyślał nowe tortury. Dręczenie jej sprawiało mu jakąś dziką rozkosz, obcą dotąd jego naturze.

...I wreszcie wybuchnął jej krwawy ból, z rozpaczliwym płaczem rzuciła mu się na szyję i błagała już nie o miłość, ale o litość, o odrobinę litości...

Odwrócił głowę od okna i starał się myśleć o czemś innem. Tak go dręczyły te wspomnienia.

Ale wszystkie myśli ustawicznie wracały do niej, do jego Hani.

Jakie to dziwne, że właśnie teraz przyjechała.

Zapomniał już o wszystkim, uspokoił się,

zdawało mu się, że wszystko już skończone, a teraz znowu... Hania... Hania...

— O czym tak myślisz? — zapytał go Kążmierz.

Zerwał się z niepohamowanym gniewem. Jak gdyby ktoś obudził go brutalnie z miłego snu, który człowiek chciałby śnić jak najdłużej, bez końca.

— Gdybyś był łaskaw przestać się mną zajmować. Zrobiłbyś mi prawdziwą przyjemność. Czemże zasłużyłem na to, że od godziny siedzisz nademną i katujesz mnie bez przerwy; czem ci zawiniłem?

— Ależ, mój drogi, nie chciałem cię niczem urazić. O co ci właściwie chodzi? Co ci się stało? Nie można dzisiaj słowa przemówić do ciebie, wszystko cię gniewa i drażni.

— Zdaje ci się tylko.

— Nie rozumiem twojego postępowania ze mną. Pragnąłeś przyjacielskiej rady, więc dałem ci ją. Nie chciałem cię bynajmniej odwozić od twojego zamiaru; chciałem cię tylko nakłonić, abyś się zastanowił, zanim będzie za późno. Jeżeli cię przypadkiem dotknąłem jakim niewłaściwym słowem, nie

powinieneś się o to gniewać. W każdym razie nie ze złego serca.

— Przepyszny jesteś — mruknął oschle.

— Obowiązek nakazywał mi powiedzieć ci, co o tem myślę i powiedziałem ci to.

...Czy ten człowiek doprawdy nie rozumiał, jak drażnił go każdym słowem, jak mu był natrętny w tej chwili. Pragnął samotności, spokoju i ciszy, pragnął myśleć o niej... o Hani... nie, nie, zapomnieć o niej, uspokoić się... A musiał ciągle słuchać rozmowy, która targała mu wszystkie nerwy.

Nagle zaczął mówić szybko, nie panując już nad sobą.

— Zdaje mi się prawie, że uwziąłeś się prześladować mnie dzisiaj. Wszystko, co mówisz, jest mi najzupełniej obojętne. Powiedziałem ci już, że zrobię, jak mi się będzie podobało, żadnych rad nie potrzebuję. Więc czego chcesz odemnie? Co cię to obchodzi, czy się ożenię, czy nie, czy będę szczęśliwy, czy nieszczęśliwy? Od godziny męczysz mnie i męczysz, i po co to wszystko. Sam sobie poradzę, bez niczyjej pomocy. Poza tem nie pragnę niczego prócz spokoju, trochę spo-

koju. I nie mogę go znaleźć, dzięki tobie, ani na chwilę.

— Przepraszam. Nie wiedziałem, że jestem ci natrętnym. Mogłeś mi to być już dawno powiedzieć, powinieś być powiedzieć. Przyszedłem, bo prosiłeś mnie o to. Jeżeli jestem ci zbyteczny, jeżeli przeszkadzam nawet...

Karski ochłonał trochę.

— Nie gniewaj się na mnie — zaczął się usprawiedliwiać. Jestem tak rozdrażniony, że nie panuję nad sobą. Nie chciałem cię obrazić. Rozumiesz chyba, że w podobnej chwili można się unieść. Przepraszam cię serdecznie, ale doprawdy...

— Nie warto o tem mówić.

— Ale nie gniewasz się? Mnie samemu przykro teraz. Ale naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje. Chciałbym nie myśleć, nie wiedzieć o niczem.

— Przeciwnie, powinienbyś się zastanowić, abyś nie żałował kiedyś tego kroku. Pomyśl Zigmuncie, jeszcze czas.

Oh, gdyby się mógł pozbyć tego człowieka w jakiś sposób. Gdyby już poszedł nareszcie. Możeby wyjść z nim razem i wrócić po chwili? Nie, nie, nie chciał, nie mógł

znaleść się teraz wśród ludzi. Oh, gdyby zostawiono go samego.

Odetchnął swobodniej, kiedy zobaczył, że Kaźmierz bierze kapelusz.

Gdy wychodził, uściskał mu rękę ze szczerą serdecznością; potem zamknął drzwi na klucz.

20

Był sam.

Dziwne, co się z nim działo? To nagłe wzruszenie, skoro dowiedział się o jej przyjeździe. I ten niepokój, jaki go ogarnął. Zaczął żałować, że tak niemile i szorstko dotknął bądź co bądź wiernego przyjaciela. To było pewne, że wszystko, co powiedział, powiedział szczerze i tylko dlatego, aby mu dać dobrą radę, że myślał o jego szczęściu. Ale czemu męczył go swoją obecnością? Powinien był zrozumieć tę potrzebę samotności i nie czekać, aż ją przejawia... Tak brutalnie...

Usiadł i znowu wpatrywał się w okno, w zimny, mroczny wieczór.

...Hania przyjechała. Cóż go to mogło obchodzić?

Czyżby tylko zdawało mu się, że zerwał z przeszłością, że nic już nie wiąże go z dawnym życiem? Czyżby rzeczywiście tkwiło

jeszcze coś na dnie, utajone, nieuświadomione, co teraz zaczęło rosnąć, olbrzymieć i płomieniami rozsadzało czaszkę?

...Dlaczego Hania musiała przyjechać? Hania... Zawsze, kiedy o niej myślał, przemawiała go jakaś trwoga, jakiś dziwny niepokój.

...Jakie męczarnie przechodził wówczas, kiedy czekał na nią, kiedy mieli się spotkać po raz pierwszy. Drżał z niecierpliwości, wzdrygał się, skoro usłyszał jakiś szelest, zdawało mu się, że byłby umarł z tęsknoty i oczekiwania, gdyby nie była przyszła. I zawsze powtarzało się to samo, ile razy miał ją zobaczyć. A nawet później, kiedy już odjechała, z jaką trwogą wyczekiwał jej listów, jak długim wydawał mu się dzień każdy, kiedy nie otrzymał od niej ani słowa.

...Kiedy się to właściwie skończyło? Prawda, prawda... Przyszło to tak jakoś samo z siebie... a może i nie?... Przestał odpowiadać na jej listy, później nie otrzymywał ich wcale... Zapomniał, pogrzebał ją w pamięci... Zdawało mu się, że to już na zawsze... Czy rzeczywiście zapomniał?... I teraz, kiedy zaręczył się z Zofią, teraz musiała przyjechać...

wywlec swoją obecnością te wspomnienia...
Piekło...

Gdyby mógł nie spotkać jej wcale, to byłoby najlepiej... Ale ta przekłeta zabawa... Nie, nie pójdzie do nich, zaraz jutro roześle zawiadomienia o zaręczynach... Niech się to już raz skończy. Gdyby się chciał dręczyć wspomnieniami o każdej dawnej kochance...
ha, ha, ha!

...A jednak... Biedne dziecko. Zawsze była tak wątpa i słaba.

...Jak ona go kochała. Każdy jej list, każde słowo drgało miłością. Jej listy. Cała jej dusza wylewała się w nich. Jej listy...

Niemal odruchowo otworzył szufladę biurka i drżącymi rękoma począł przewracać znajdujące się w niej papiery. Wreszcie znalazł jej fotografię. Leżała w głębi, przyrzucona listami, papierami. Wziął ją w rękę i patrzył na nią długo.

...Jakiś dziwny wyraz tkwił w jej rysach, w tych ciemnych, przepaścistych oczach. Jakiś smutek, żal jakiś za czemś nieznanem, czy utraconem.

Zdawało mu się, że te oczy patrzą na niego niemym wyrzutem, skargą kochającej kobiety,

która tylko wejrzeniem skarżyć się może. Bo usta jej umieją szeptać tylko słowa miłości.

Postawił fotografię na biurku i wsparł głowę na dłoniach.

...Ten straszny smutek jej oczu. Dziwne, że dopiero dzisiaj to zobaczył i właśnie dzisiaj.

A może tylko zdawało mu się, może przedrażniony nerwowo doszukiwał się tam czegoś, co nie istniało?...

Znowu przerzucał papiery w szufladzie biurka, wyszukał jej listy, wziął je do ręki i odczytywał powoli.

Jej listy.

Cała jej istota kryła się w tych listach; wszystka radość i udręczenie.

— — «jasny, jedyny ty mój, wszak wiesz, jak cię kocham i tęsknię i pragnę żyć z tobą i tylko dla ciebie, jak długo zechcesz i jak długo sił mi starczy — — —»

Powoli czytał list za listem, wchłaniał w siebie każde słowo, upajał się niemi, jak gdyby czytał je dopiero po raz pierwszy.

Takie ciche, dobre, kochające listy.

A potem ta jedna, jedyna skarga, ten wybuch długo tłumionego żalu, kiedy przez długi

czas nie pisał do niej ani słowa, kiedy zaczynał powoli zapominać — ten jeden wielki krzyk bóleści, nie dającej się zgnieść w duszy, mimo najstraszniejszych wysiłków.

— — «niech wiem, co się stało, niech wiem, dlaczego nic nie piszesz. Przyjmę wszystko spokojnie, co najwyżej obłąd mnie chwyci, ale to przecie nic złego, nawet nic przykrego, będzie mi tak dobrze, tylko napisz mi prawdę, niech już tak nieludzko nie cierpię. — Nie, nie, ja nic nie cierpię, tylko prawdy, prawdy, bo oszaleję. — — Czy ty wiesz, co to ból? a może wiesz, co rozpacz? może znasz obłąd i szal? o, to ostatnie jest słodkie, słodkie, to szczęście. — — — A gdybym oszalała, może kochałbyś mnie bardziej — — — ja chcę być tylko twoją sługą, twoją niewolnicą, byle zawsze przy tobie —»

«Twoja przyjaciółka Hania». — Tak zawsze podpisywała listy... Twoja przyjaciółka Hania!

Tak... to był list ostatni. Na ten także nie odpowiedział i skończyło się wszystko, wszystko...

Może rzeczywiście z tą miłością skończyło się dla niej wszystko.

...Hania, Hania!... Jakże pragnęłby być te-

raz przy niej i skarżyć się i patrzeć w jej ciemne, zalęknione oczy... Oh, przy niej był spokojny, szczęśliwy; jak szczęśliwy, kiedy długimi, wątlami rękoma gładziła jego włosy.

Tamta? Cóż go z tamtą łączyło? Tamta nie rozumiała go, nie miała duszy; kochała go, prawda, ale tak samo kochałaby każdego innego, każdego!

...Hania...

Czemu nie mógł o niej zapomnieć? czemu nie mógł myśleć o niczem innym?

Czemu roztkliwiał się, jak dziecko lub żak szkolny, zawiedziony w pierwszej miłości ku nieletniej pensyonarce?

Sam sobie wydawał się śmiesznym. Czyż nie miał dość siły, aby się pozbyć tych myśli, aby się otrząsnąć z tego wrażenia, które zaskoczyło go niespodziewanie i pobudzało niemal do płaczu?

Dlaczego wyciągnął te wszystkie głupstwa, te listy i fotografie. Tak długo leżały spokojnie w biurku, nigdy nie pomyślał o nich, a dzisiaj zaczął się roztkliwiać nad niemi.

Był przecież tak strasznie śmieszny.

Powinienby jeszcze rozburzyć włosy, wziąć rewolwer do ręki, przyłożyć do skroni. Wy-

glądałby przepysalnie, blady, zrozpaczony, z dzikiem wejrzeniem... A potem w ostatniej chwili przypomnieć sobie, że nie ma w domu naboju...

Ha, ha, ha...

Starał się odurzyć szyderstwem, ale na próżno. Gniewał go ten wymuszony cynizm, ta płaska ironia, niemal śmieszniejsza jeszcze od tego, co chciał wyszydzić.

Nie mógł o niej zapomnieć.

...Te oczy smutne, wżerające się skargą w duszę, te oczy bezbronnej ofiary...

Nagle pochwycił fotografię i zgiął ją w rękę, jak gdyby chciał ją rozedrzeć.

Zniszczyć to wszystko, spalić i oswobodzić się wreszcie od tej zmory przeszłości.

Ale nie mógł jej rozedrzeć. W ostatniej chwili drgnął i znowu położył fotografię przed sobą na biurku. Przeraził się na myśl o tem, co chciał uczynić, zdawało mu się, że chciał popełnić świętokradztwo.

To były jedyne pamiątki po niej, to było wszystko, co mu pozostało, ta fotografia i listy. I chciał zniszczyć to ostatnie.

Więc aż tego było potrzeba...

Jak nędznym czuł się teraz, kiedy myślał

o niej, jak nieszczęśliwym i samotnym. I musiał się bać tego uczucia, które tliło gdzieś na dnie duszy, bo wiedział, że wybuchnie, rozpłomieni się i zniszczy go. I jutro miała nadejść ta chwila, jutro, kiedy z narzeczoną pójdzie przez salę, łamiąc się pod przerażeniem spojrzaniem Hani. Jutro, to straszne, nieubłagane jutro czekało na niego.

Jutro...

Dopiero jutro ją zobaczy, zobaczy tę, za którą tak tęskni, której tak pragnie. Jeszcze tak długo musi czekać na tę chwilę.

Lecz gdyby dzisiaj... gdyby dzisiaj tam poszedł, dzisiaj zobaczył ją, napił się pieśczętą jej głosu. Zobaczyć Hanię i być przy niej i skarżyć się i płakać i patrzeć w jej czarne, zalęknione oczy. Oh, przy niej był szczęśliwy i spokojny. Jak spokojny. Dlaczego nie miałyby tam pójść do niej.

Prawda, przyrzekł narzeczonej, że u niej spędzi ten wieczór. Miał podziwiać stroje, przygotowane na jutrzejszą zabawę, mówić miłe słowa, bawić ją, kłamać miłość, kłamać, bo przecież nie kochał jej ani przez chwilę...

Co też Hania robi, skoro się o tem dowie... Pewnie pogardzi nim. Ale nie, nie! Ona

nie może nim pogardzać, ona go kocha... Kocha?... i skądże wie o tem? Skąd wie, że i ona nie zapomniała o nim, nie przeboleła zawiedzionej miłości, nie pogrzebała go na dnie serca... może ta miłość jest dla niej także tylko wspomnieniem... Jak mógł przypuścić choćby na chwilę, że Hania zapomniała o nim, Hania, dla której ta miłość była wszystkim. O tem wiedział przecież...

O gdyby teraz mógł całować jej ręce, jej małe, słodkie ręce.

...Nie, nie, musi ją zobaczyć, musi dziś jeszcze, za chwilę. Czemże jest wszystko wobec tego szczęścia, jakie go przy niej czeka? Czemu ma się tak dręczyć, skoro wie, że nie zapomni o niej nigdy, nigdy, skoro czuje, że kocha ją, ją, tylko ją.

Zaczął niespokojnie chodzić po pokoju.

...Co robić? co robić?

...Do niej... do niej... musiał iść do niej, nie mógłby już dłużej znosić tej męczarni, tej samotności, która wyzierała straszna ze wszystkich kątów pokoju.

...Ale Zofia zazdrosna... Teraz, kiedy śledzi każdy jego ruch, każde słowo... Zofia...

Jakież Zofia miała do niego prawo, do jego duszy...

Wybiegł spiesznie z domu; nie czuł zimna, które mroziło jego ciało, nie widział przechodzących, potraçał brutalnie ludzi.

Byle prędej, byle prędej być przy niej.
Za chwilę ją zobaczy.

Zatrzymał się przed bramą domu.

...Jeżeli tam wejdzie?... co jej powie?...
czyż będzie śmiał spojrzeć jej w oczy?...
Wszak ona w każdym słowie wyczyta prawdę,
domyśli się wszystkiego.

...Nie, nie, tylko zobaczyć ją... a potem,
potem, czyż miał coś do stracenia?

Przez chwilę jeszcze stał przed domem,
potem wszedł na schody. Zdjął rękawiczkę,
bezmyślnie zsunął z palca zaręczynowy pier-
ścionek i schował do kieszeni.

— Tak dawno nie widziałem pani...

— Ależ bardzo proszę. Czemuś pan wcześniej nie przyszedł? Za karę nie dostaniesz pan nic więcej prócz herbaty. Proszę bardzo, niech pan siada.

Rozejrzał się szybko do koła. Ale nie było nikogo więcej w pokoju.

— Czemuż właściwie zawdzięczam to szczęście, że widzę pana u siebie. Jesteś pan obecnie tak rzadkim gościem, że doprawdy muszę dzień dzisiejszy zaliczyć do niezwykłych, podkreślić go czerwono w kalendarzu.

— Nie wiem, co mi się stało, ale musiałem przyjść do pani. Przez kilka godzin walczyłem z nudami; wreszcie uświadomiłem sobie, że uspokoję się, skoro tu przyjdę. No i przyszedłem. Coś przygnało mnie tutaj.

— Niema co mówić. Bardzo pięknie. I otwarcie przyznajesz się pan, że dopiero ostateczne nudy sprowadzają pana do mnie, że coś musi pana przygnać. Ani słowa. Ale mimo

to bardzo się cieszę, że pana widzę, chociaż doprawdy powinnabym się gniewać.

Ciągle myślał o Hani. Gdzież ona być mogła? Bał się zapytać o nią, mimo że ta niepewność strasznie go dręczyła.

Gdyby jej dzisiaj nie zobaczył...

— Trafiłeś pan szczęśliwie...

Zadrżał. Teraz się dowie.

— ...dopiero przed chwilą ukończono porządkę. Z tą jutrzejszą zabawą tyle kłopotu. A jakże pan? będziesz pan jutro w kasynie?

— A tak! prawdopodobnie — odpowiedział już podrażniony nieco.

Gdzież ona być mogła?

— Bo my idziemy wszyscy.

— Jako wszyscy?

— Ha, ha, pan pewnie nawet nie wie o niczem...

— To znaczy...

— Więc nie widziałeś pan jeszcze Hani?

— Hani?... Panny Orwiczówny?

— Ha, ha, ha, więc istotnie nie wiesz pan, że przyjechała?

Odetchnął. Nareszcie.

— Tak?! — zapytał, udając zdziwienie.

— Jesteś pan słusznie ukarany za to, że

mnie zaniedbujesz. Gdybyś częściej przychodził, wiedziałbyś o tem już dawno. Są tutaj już od dwóch dni, a zapowiadali się od miesiąca.

— Proszę pani... to rzeczywiście nowina... no, ale dziwię się, że panny Hani tu nie widzę... przecież dawniej...

— Chcesz pan wszystko wiedzieć odrazu, kiedy przyjechali, co robią, a należałaby się panu kara.

— Więc nie można wiedzieć.

— Ależ owszem. Poszli do teatru i przypuszczam, że wrócą niezadługo. Pan Sadnicki ogromnie uradowany, że siostrzenica przyjechała, zapomniał o starokawalerstwie, wyszukuje i obmyśla ciągle nowe rozrywki, tem bardziej, że Hania posmutniała na wsi. Nie poznasz jej pan, tak bardzo się zmieniła. Była dawniej żywa, wesoła, teraz ciągle poważna, zamysłona. Nawet matka zwróciła na to uwagę i dlatego przywiozła ją do miasta, aby się dziewczyna trochę rozerwała. Coś dziwnego się z nią stało. Gotowabym przypuścić, że się skrycie w kimś kocha, gdybym jej tak dobrze nie znała.

— Więc zmieniła się?

— Ogromnie. Nie możesz pan mieć wyobrażenia.

Ach, gdyby wreszcie mógł się w jakiś sposób upewnić, że Hania tu przyjdzie. Czuł nieprzepartą chęć zerwać się i biec do teatru. Tam przecież spotkałby ją z pewnością.

Ale równocześnie przyszło mu na myśl, że nie mógłby już tu z nią powrócić, widziałby ją tylko przez chwilę. A może nie zobaczyłby wcale.

— Tak... panna Orwiczówna bywa oczywiście często u pani.

— Hania spędza tu niemal każdą wolną chwilę. Nie wyobrażasz pan sobie, jaka to dobra dziewczyna. Gdybym była mężczyzną, zakochałabym się w niej odrazu. Takie to dobre i słodkie...

I jemu mówili o tem... dzisiaj...

— O ile sobie przypominam i pan lubił ją bardzo, jak wielu innych zresztą.

— Ach i dzisiaj jeszcze. Zobaczyłbym ją bardzo chętnie. Chociaż nie wiem, czy się to da zrobić.

— Dlaczego? Przecież możesz je pan odwiedzić. Powinieneś nawet.

— Tak, ale myślałem o tem, że jeżeli usta-

wicznie są poza domem, nie wiem, czy będę mógł je zastać.

— Bądź co bądź zobaczycie się jutro. Przyjdź pan na zabawę do kasyna, Hania tam będzie.

— A gdybym jeszcze dzisiaj chciał ją zobaczyć? — zapytał nagle, nie kryjąc dłużej zamiaru, który go sprowadził. — Gdyby zależało mi na tem, aby się to stało jeszcze dzisiaj?

— Lubię szczerłość. Więc rzeczywiście zależy panu na tem?

— Tak.

— Dobrze. Więc zobaczysz ją pan. Mogę zaspokoić pańskie życzenie. — Spojrzała na zegarek. — Za chwilę przedstawienie się skończy, a skoro wrócą do domu, Hania zaraz tu przybiegnie.

— Lecz gdyby nie przyszła?

— Poślemy po nią. Skoro przyrzekłam, dotrzymam. A więc tylko trochę cierpliwości.

Pochwycił jej ręce i ucałował serdecznie. ...Więc zobaczy ją, zobaczy.

Czuł w piersiach jakieś wielkie, bezmierne szczęście.

— Przypuszczam, że i ona się ucieszy, kilkakrotnie pytała się o pana.

...Hania, Hania pytała się o niego... pamięta o nim... kocha...

— Niech mi pani opowie coś jeszcze o panie Orwiczówniej — rzekł po chwili. — Tak dawno o niej nie słyszałem, nie wiem, co się z nią działo przez tak długi czas. Czy zadowolona z pobytu na wsi?

— Oczywiście, wprost trudno było ściągnąć ją do miasta. Sądzę jednak, że za długo tam siedziała. Młode dziewczęta w jej wieku, zwłaszcza o tak żywym usposobieniu, potrzebują więcej rozrywki, niż mogą znaleźć na wsi. A słyszałeś pan, że w przeszłym roku chorowała ciężko?

— Chorowała!? I cóż było przyczyną?

— Niewiadomo. Jakieś rozdrażnienie nerwowe, czy coś takiego. Przyjechała do domu zupełnie zdrowa... Dzięki Bogu, skończyło się szczęśliwie.

...Czy on był przyczyną tej choroby? Jak musiała go kochać, jeżeli tak silnie odczuła jego obojętność i zapomnienie. Więc dręczył ją wszędzie i zawsze, nawet kiedy nie był przy niej. A teraz chciał jej

zadać jeszcze straszniejszy cios. Bo czyż mogła znieść spokojnie wiadomość, że zamierzył poślubić inną kobietę? Czemu tak pastwił się nad nią, że największy wróg nie mógł wymyślić gorszych męczarni. I kochał ją. A przynajmniej zdawało mu się, że ją kocha...

Och, gdyby już była przy nim, jakże długo każe mu czekać na tę chwilę szczęścia...

Ha, ha, ha, tam także czekają na niego, Piękna Zofia niecierpliwi się, drze cieniutką chusteczkę, ustawicznie spogląda na zegar, biegnie ku drzwiom, i znowu siada, i znowu wstaje. Układa w myśli długą oracyę, aby nią przywitać narzeczonego zaniedbującego obowiązki. A łzy, przepojone złością, napływają jej do oczu.

Jak ona umie się złościć. Niebezpieczna istota, mogłaby oczy wydrapać, kiedy się zgniewa. Miłe życie go czeka.

Hania... Hania całkiem inna. Pozwoliłaby się zamęczyć, a słowo skargi nie powstałoby jej na ustach. Nigdy nie gniewała się na niego. Nawet wtedy, gdy każda inna byłaby uciekła od niego, ona patrzyła tylko smutnie... może zapłakała skrycie. I cieszyła się jeszcze, że może cierpieć dla jego miłości.

«Powinieneś się zastanowić».

Tak powiedział mu dzisiaj przyjaciel. Czyż potrzebował się zastanawiać nad tem? czyż mógł porównywać te dwie kobiety i wahać się w wyborze? A jednak wybrał tamtą...

Zofia...

A, czemu myślał o tem ciągle, czemu rozmyślnie zatrzymał sobie tę chwilę, kiedy na nią czekał i miał ją zobaczyć.

Ogarnęła go nagle chęć, aby powiedzieć wszystko pani Oldze. Wszystko. Już naprzód wyobrażał sobie jej zdumienie.

— Jak pani sądzi, czy nie czas już, abym się ożenił?

— Sam pomysł bardzo mi się podoba. Ale któraż ma być tą szczęśliwą?

— Gdybym wiedział...

— Pragniesz pan zatem mojej rady?

— Byłbym za nią niezmiernie wdzięczny.

— Zaraz pomyślimy...

— Ot na przykład... gdybym się chciał ożenić... no przypuśćmy z panną Rohatyńską... coby pani powiedziała na to?

— Z Zosią Rohatyńską?

— Mówię: przypuśćmy...

— Zdaje mi się, że ona byłaby najmniej

odpowiednią na żonę dla pana. Wątpię, aby dwie tak różne natury mogły się pogodzić.

— Podzielałam zdanie pani, że to najmniej stosowna dla mnie partya — odparł pospiesznie. — Chociaż bywają wypadki...

Nie, wyznanie nie chciało mu przejść przez gardło... Ale Kazimierz słusznie powiedział: nikt nie będzie chciał uwierzyć.

— Więc któraż?

— Najprawdopodobniej żadna.

— Jakto, tak szybko się pan rozmyśliłeś? W tym wieku zaczynasz już myśleć o starokawalerstwie? Wstydz się pan. Ale ja panu poradzę, dobrze poradzę. Ożeń się pan z Hanią. To niezwykła dziewczyna i ona jedna może panu dać to, co ludzie zwykli nazywać szczęściem.

— Ha, ha, ha!

— Wydaje się to panu zabawne?

— Zabawne? ... Nie, nie!

Ha, ha, ha, przecież ciągle myślał o tem. Ha, ha, szczęście, wszak wiedział, że ona jedna mogła by go kochać, że go kocha. Zabawne?... ha, ha, ha. I żenił się z tamtą...

— Patrz, Haniu, jakiego mam gościa.

Ona, ona!...

Zerwał się z krzesła i wpatrzył się w nią prawie nieprzytomny.

Ona, jego Hania...

— Dobry wieczór panu.

Nie mógł wymówić ani słowa, tylko gwałtownie, jak gdyby oszołomiony, trzymał jej rękę w uścisku.

— Nie spodziewałam się już zobaczyć pana — mówiła cichym, dźwięcznym głosem.

— Gdybym był wiedział, że pani jest tutaj...

Nie mógł zrozumieć, co się stało, że jest tu przy niej. Widok jej odbierał mu panowanie nad sobą, nie pozwalał mu myśleć, zastanawiać się. Tyle szczęścia...

— Już przeszło godzinę czekamy na ciebie. Pan Karski dowiedział się odemnie, żeś przyjechała i chciał cię koniecznie zobaczyć.

— Bardzo jestem wdzięczna...

Wydało mu się, że czuje łyżę w jej głosie.

Usiedli w kącie pokoju.

— Haniu — szeptał — moja, moja!

— Myślałam, że już nigdy nie zobaczę pana.

— Jak ja jestem szczęśliwy.

Wybuchnęła nagle cichym, długo tłumionym żalem.

— Och, gdybyś wiedział, ile ja wycierpiałam. Chwilami zdawało mi się, że oszaleję. Czekałam jakiejś wiadomości od ciebie, czekałam, całymi dniami chodziłam jak nieprzytomna i nic, nic, ani jednego słowa.

— Jakaż ja ci krzywdę wyrządziłem.

— Tak źle było mi na świecie.

— Ale czemu nie pisałaś, czemu nie doniosłaś mi... Byłbym przecie...

— Czyż mogłam? Nie odpowiadałeś na moje listy, czyż mogłam ci być natrętną? czy mogłam być ci może... ciężarem.

— Ale wierz mi najdroższa...

— Nie, nie chcę nic wiedzieć. Jesteś przy mnie i niczego więcej nie pragnę, chcę zapomnieć o wszystkim, co mnie dręczyło. O, nie przypominaj mi tych strasznych chwil.

— Moje biedactwo kochane. I mimo wszystko, że byłem tak zły dla ciebie, nie zapomniałaś o mnie?

— Zapomnieć!? Czyż mogłam choć na chwilę zapomnieć? Czemże jest dla mnie wszystko bez ciebie... Widzisz, zdawało mi się wtedy, gdy byłam chora, że umrę i bałam się, tak strasznie się bałam... nie śmierci, nie, ale skoro pomyślałam, że nie zobaczę cię już nigdy więcej... nie, nie, to straszne.

Oparła głowę na jego ramieniu i usiłowała stłumić łkanie, które wstrząsało gwałtownie jej piersi.

— Uspokój się, najdroższa moja dziecino, teraz już zawsze będziemy razem...

Wzdrygnął się nagle.

... Czy i Zofia także? Cóż przyrzekał?

— Nie, już nie... już nie płaczę... nie gniewaj się — mówiła jeszcze przez łzy — do prawdy nie mogłam się powstrzymać.

— Ależ, dziecko słodkie, to ja powinienbym cię przeproszać... tylko ja zawiniłem...

... Gdyby wiedziała o czem jeszcze przed godziną myślał.

— Bo ja tak potrzebuję miłości i gdybyś przestał mnie kochać...

Męczarnią była dla niego jej dobroć. Gdyby robiła mu wyrzuty, gdyby się gniewała, mógłby znieść wszystko, ale ta dobroć wielka,

ta wiara w niego... zdawało mu się, że ten mięki głos wpija mu się w mózg i szarpie i gryzie... Podły był, że przyszedł tutaj, podlejszy, niż wówczas, kiedy ją opuścił. Wtedy uspokoila się, dziś już nie zdoła zapomnieć.

— Nie, Haniu, nie mogę. Nie mów tak do mnie. Nie godzien jestem, abyś mnie kochała... nie mogę znieść tego, tej dobroci, tego przebaczenia za wszystko... chociażbym duszę wydarł z piersi, nie potrafię okupić tego, co zrobiłem... nie potrafię... nie mogę... Powinnaś mnie przeklinać, słyszysz, przeklinać mnie i tę chwilę, kiedyś mnie poznała...

— Co tobie?

— Nic, nic... jestem tak nieszczęśliwy.

— Teraz? Kiedy jestem przy tobie?

— Nie... już dobrze... nie zważaj na to, co mówię; coś dziwnego dzieje się ze mną, ja sam nie wiem... co ja zrobiłem...

Wpatrywała się w niego swojemi czarnemi oczyma, pełna lęku i niepokoju.

— Nie myślmy i nie mówmy już o tem, co minęło — mówiła trwoźnie — to już nie powróci. Teraz znowu możemy być szczęśliwi.

— Gdybyśmy mogli...

— Czy jest większe szczęście nad twoją miłość, ja nie znam większego...

— — — — —

— Pamiętasz, jak dobrze było nam razem?

— Czyż można o tem zapomnieć.

— A wtedy, gdy mieliśmy się spotkać po raz pierwszy. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Serce biło mi gwałtownie, byłam prawie nieprzytomna. A jednak musiałam iść, coś pchało mnie do ciebie... Byliśmy tak strasznie nieprzezorni. Gdyby ktośkolwiek dowiedział się, że się spotykamy? gdyby mnie ktoś był zobaczył, jak wchodziłam do twojego mieszkania?...

— Tak, o tem nie myśleliśmy wtedy...

— A ty, niedobry, zamiast mnie uspokoić umyślnie mnie straszyles. I śmiales się ze mnie, że się boję..

— To były piękne chwile. Może najpiękniejsze w mojem życiu.

— A wtedy, gdy odprowadzałeś mnie do domu... pamiętasz... powiedziałałam ci wówczas, że cię kocham... Jak ja się później wstydzilałam mojej śmiałości. Ale to musiało tak być.

— Przypomniałem sobie dzisiaj ten wieczór... I to wspomnienie przywiodło mnie tutaj... tak... byłem wówczas okrutny dla ciebie,

nie zasłużyłem na twoją miłość, na to wielkie, bezgraniczne szczęście... nie umiałem go ocenić... teraz już zapóźno, daremny żal... niepowrotnie je utraciłem, chociaż trzymałem w ręku. Dzisiaj byłbym może inny, ale to już nie wróci.

Z jakąś dziwną jasnością zrozumiał w tej chwili, że to wszystko rzeczywiście należy już do przeszłości i nie wróci nigdy, nie wróci. I zaczął go ogarniać wielki smutek za tem, co było i wrócić już nie może...

— Nie wróci? — zapytała smutnie.

— Któż to może wiedzieć.

— I ty wierzysz, że już nie wróci? — pytała z przestachem.

Ujął jej rękę i ukradkiem przycisnął do ust. Czuł, jak wciska mu ją w usta, jak drży rozkoszą. I żal mu było tej dobrej, oddanej istoty, której szczęście minęło bezwrotnie.

Nagle wyrwała mu rękę.

— Puść! gdyby spostrzegli... gdyby się mama domyśliła. Mogą zobaczyć z tamtego pokoju... Puść!

— Nie bój się dziecino.

— Cóż Hania? Zmieniła się, nieprawda? — spytała pani Olga, siadając obok nich. — Mó-

wiliśmy dużo o tobie z panem Karskim i tak go to zajęło, że postanowił poczekać, aż wrócicie, aby cię zobaczyć.

— I rzeczywiście jestem z tego niezmiernie zadowolony, że się doczekałem panny Hani. Ale zmiany, o której pani mówi, nie mogę dostrzedz.

— O, pan także się zmienił, moja Haniu.

— Ja? zmieniłem się?

— Chociażby to ostatnie, o czym mówiliśmy dopiero przed chwilą.

— Co takiego, proszę pani?

— Wyobraź sobie, Haniu, że pan Karski zamierza wstąpić w śluby małżeńskie.

Uczuł, jak ręka jej zaciska się kurczowo.

— Nie, panna Hania mogłaby doprawdy uwierzyć...

— Nie przerywaj pan. Otóż zamierza się ożenić i czy wyobrazisz sobie z kim?

— Ależ proszę pani...

— Ni mniej, ni więcej, tylko z panną Rohatyńską. Znasz przecie Zosię Rohatyńską z ostatniego karnawału?

Znowu poczuł nerwowy, rozpaczliwy prawie uścisk jej dłoni.

— Zapomina pani dodać, że było to tylko słowo rzucone tak dla igraszki.

— O, mnie pan nie przekonasz.

— I gdybym wogóle miał zamiar się żenić, wybrałbym prawdopodobnie zupełnie inaczej.

Nie mógł w tej chwili zadać jej ostatecznego ciosu.

— Ale nie zaprzeczysz pan chyba, że mówiłeś o niej ze mną.

— Oczywiście; przyznaję, że mówiłem o panie Rohatyńskiej.

— O to tylko chodziło. Przypomniałam sobie teraz, prawda. Mówiono mi, że w ostatnim czasie jesteś pan jej nieodstępnym towarzyszem. Przyznaj się pan lepiej odrazu. I tak dowiemy się prawdy.

— Nie wiem, dlaczego postanowiła mnie pani prześladować tą kobietą. Niema w tem nawet pozoru prawdy.

— Kto to wie, kochany panie, jakimi drogami krąży serce...

— A jeżeli chodziłem z niemi często w ostatnim miesiącu, to tylko dlatego, że pan Rohatyński wyjechał, a wyjeżdżając, prosił mnie, abym o nich nie zapomniał. Tem bardziej,

że mają tutaj tak niewiele znajomych... nie bywają prawie nigdzie, są samotne...

— Takie opieki, dobry panie, nieraz kończą się małżeństwem. Nieprawda, Haniu? my wiemy coś o tem.

Siedział, jak na torturach. Spojrzał na Hanię; była bardzo blada, usta drgały jej nerwowo. Na ustach drżało jej jakieś pytanie, którego nie śmiała, czy nie chciała zadać.

— Więc tak. Radzę panu wystrzegać się tej opieki. Potem już nic nie pomoże. A pan na Rohatyńska wcale przystojna, energiczna i jeżeli tylko zechce, powiedzie ptaszka w jarmzo małżeńskie. Nic pana nie uratuje. I będziesz się pan nią wtedy opiekował przez całe życie... Ale co tobie, Haniu? Nie mówisz nic, pobladłaś.

— Niech pani nie zwraca na mnie uwagi; dziękuję za troskliwość — mówiła z trudem, zmuszając się do spokoju — czuję się trochę zmęczoną i oto wszystko.

— Może chcesz już iść do domu, moje dziecko?

— O nie, zostanę chętnie jeszcze chwilę? Chciałabym... pomówić jeszcze z panem. Nie

widzieliśmy się tak dawno, a tyle się od tego czasu zmieniło.

— Więc nie przeszkadzam. Skoro powiecie sobie wszystko, przyjdźcie do nas, do drugiego pokoju. Mama chciała jeszcze omówić ostatecznie twoją jutrzejszą toaletę.

— Dobrze, proszę pani, zaraz przyjdę.

Przez chwilę milczeli. Oboje nie wiedzieli, od czego zacząć dalszą rozmowę. Słowa pani Olgi rzuciły pomiędzy nich jakiś cień, który zmroził dotychczasową serdeczność.

Zaczynał powoli żałować, że przyszedł tutaj. Bo i po co przyszedł. Prawda... zdawało mu się, że ją kocha, chciał ją zobaczyć. Kocha?... Nie, nie. Kochał tamtę, z przeszłości. Dzisiaj czem była dla niego. Żał mu jej było, ale mimo to najchętniej pożegnałby się i wyszedł.

...Dziwne. Kiedy szedł tutaj, zdawało mu się, że żyć bez niej nie może. Jeszcze kiedy czekał na nią, doznawał takiej strasznej trwogi. A teraz... Był tak spokojny, prawie obojętny. Jak się to stało? Czyżby rzeczywiście tylko jakaś złuda przeszłości wstała z zapomnienia i na chwilę rozbłysła czarodziejskimi barwy,

a teraz prysła znowu, zbladła i w niwecz się obróciła? Nie umiał sobie tego wytłumaczyć, co się z nim właściwie stało, ale czuł, że coś przebrzmiało w jego sercu, co przed chwilą jeszcze jęczało tęsknotą i trwogą.

— Jaka ja jestem głupia — zaczęła po chwili — zdawało mi się, że to może prawda, co pani Olga mówiła.

— A gdyby tak było?

Spojrzała na niego tak strasznie, że zląkł się tego zrozpaczonego wejrzenia.

— Ależ nie, nie, żartowałem tylko... nie obawiaj się, moja Haniu.

— Widzisz, ja nie przeżyłabym tego. A nie chciałabym tak umierać.

— Ależ Haniu, skąd te smutne myśli?

— Czasem zdaje mi się... ale nie, czemu miałabym umierać tak wcześnie... tylko niekiedy tak mi smutno i tak pragnę nie być już na świecie.

— Nie myśl o tem, moja dziecino, staraj się zapomnieć.

— Kochaj mnie, kochaj, jestem taka biedna, taka nieszczęśliwa, kiedy pomyślę, że mógłbyś mnie porzucić na zawsze. Cobym zrobiła wtedy... Kochaj, kochaj!

...Biedna Hania. Zaczął wyrzucać sobie, że przyszedł tutaj, że rozdmuchał w jej sercu przygasłe skry miłości. Czyż miał prawo tak pastwić się nad nią, oszukiwać ją każdym słowem? Dlatego, aby zaspokoić swoje złudzenia, aby siebie przekonać dowodnie, że jest dla niego tylko przeszłością? Czy to nie było podłe?

— Uspokój się, dziecko. Nie powinnaś patrzeć na to tak tragicznie.

— Ja się tak boję. Chociaż wiem, że mnie kochasz... prawda?

Czyż miał zaprzeczyć i odebrać jej to wymarzone szczęście.

— Chciałabym ci jeszcze tyle powiedzieć... Nie odpowiedział.

— ...Gdybyśmy się mogli gdzieś zobaczyć... na godzinę, nie dłużej... rozmawialibyśmy swobodnie, tak jak wtedy... dawniej... przypominasz sobie?

— Tak.

— Nieprawda, że pozwolisz? — szepnęła, kryjąc głowę na jego ramieniu. — Przyjdę jutro do ciebie, lub pojutrze, kiedy sam zechcesz i pozwolisz...

— Nie wiem, czy to będzie można zrobić.

Gdyby cię ktoś zobaczył... mogliby się domyślić. Może lepiejby było...

— Więc nie chcesz?

— Mój Boże, gdyby można... zresztą, jeżeli mam powiedzieć prawdę... boję się tego spotkania. Znowu przyzwyczajamy się do siebie, będziesz często przychodzić, zapomnimy o należytej ostrożności... i gdyby się wydało?... Tak jest... o to mi właśnie chodzi... w zasadzie nie miałbym nic przeciwko temu, przeciwnie nawet cieszyłbym się bardzo, ale... Gdyby wykryto, ja mogę wyjechać; za rok, dwa, wszyscy zapomną, ale ty?...

— To nieprawda... tobie nie o to chodzi... ty nie chcesz!!

— Ależ zastanów się tylko...

Nie, nie mógł już tego znieść dłużej.

— Zastanowić się...?

Spojrzała na niego z niepewnością i trwogą. Przebijała go wprost wzrokiem, patrzyła w samą duszę.

— Słuchaj, to prawda, co pani Olga powiedziała? — spytała nagle. — Ty się żenisz z panną Rohatyńską.

Drgnął.

— Tak, prawda! — odpowiedział spokojnie i stanowczo.

Już dłużej nie chciał i nie mógł jej okłamywać. Wszystko jedno, co się stanie. Lepiej, że dowie się prawdy. Czemu oboje mają się dłużej męczyć wzajemnie.

Osunęła się bez jęku na ziemię.

Schylił się szybko, aby ją podtrzymać. Dotknięcie jego rąk oprzytomniło ją trochę.

— Więc to prawda — szepnęła przez zaciśnięte bólem usta.

— Nie gniewaj się na mnie. Musiałem ci to powiedzieć, nie chciałem cię oszukiwać dłużej.

Oddychała ciężko. Chciał ją ująć za rękę, ale odepchnęła go od siebie.

— Odejdź, odejdź... chcę zostać sama.

— Haniu, uspokój się.

— Zostaw mnie samą. Idź, zawołaj mamę... Powiedz, że zasłabłam. I nie wracaj już tutaj. Nigdy, nigdy, miej litość nademną.

— Haniu — szepnął smutnym głosem.

— I jeszcze o jedno cię proszę, to już ostatnia moja prośba — zaniósł się od płaczu — spal moje listy, niech ona ich nie czyta, niech nie sztydzi ze mnie i z mojej głupiej, dziecinnej miłości.

— Dobrze, Haniu, zrobię wszystko, co ka-
żesz, ale przebacz mi... ja mniej zawiniłem,
niż sądzisz...

— O Boże, Boże, jak mnie męczysz. Idź
już. Widzisz przecie, co się ze mną dzieje.
Idź już, idź, bo oszaleję!

Chciał uścisnąć jej rękę, ale usunęła ją
gwałtownie. Wtedy wyszedł do drugiego po-
koju. Tu nie było nikogo. Dopiero w trzecim
pokoju znalazł obie panie.

— Panna Hania zasłała.

— Hania, o Boże, co się stało? — Orwi-
czowa wybiegła szybko z pokoju.

— Nie będę paniom przeszkadzał — rzekł
spokojnie, zwracając się do gospodyni domu,
która także zaniepokojona zdążyła ku drzwiom
pokoju.

— Co się właściwie stało?

— Nie wiem. Przypuszczam, że małe za-
słabnięcie, bez skutków dalszych. Omdlenie
ze zmęczenia. Przyczyny pewnie sama pani
wyjaśni... Więc dziękuję serdecznie za go-
ścińnię...

— Nie zatrzymuję pana...

Pożegnał się i wyszedł na ulicę.

Karski szedł powoli ku domowi, pogrążony w zadumie. Przypominał sobie każde słowo, które usłyszał, przeszedł myślą wszystko, co się stało. Myślał o Hani z wielkim smutkiem, ale bez żalu, był niemal zadowolony z rozwiązania sprawy. Czemu mieli się męczyć dłużej oboje? Hania przeboli zawód i wszystko będzie dobrze.

Jakże gorąco, jak gdyby ogień żarzył się w mózgu.

Zdjął kapelusz i szedł z odkrytą głową. Zimny powiew wiatru i drobny deszcz, który padał nieustannie, przyjemnie chłodził jego rozpalone skronie.

...Biedna Hania... jak ona go kochała. Gdyby choć w części mógł jej odpłacić to uczucie. Ale daremnie; teraz wiedział już, że się wszystko skończyło... Jeszcze przed godziną nie byłby temu uwierzył, nawet wówczas, kiedy już zaczął z nią rozmowę... A jednak miłość wypaliła się, zostały tylko wspo-

mnienia... Tam na dnie duszy nieświadomie zmienił się jej obraz, wyidealniał w zapomnieniu, tak, że kochał tę, którą miał w duszy, żyjąca nie pociągała go niczem, miał dla niej tylko współczucie i litość.

Zadzwoił na stróża i wszedł do domu.

— Był tu jakiś człowiek i przyniósł list dla pana.

— Dawno?

— Może była dziewiąta, niedługo potem, jak pan wyszedł.

— Dobrze. Dziękuję.

Wszedł do pokoju, zapalił lampę i usiadł przy biurku. Potem przypomniał sobie o liście, który odebrał od stróża, wyjął go z kieszeni i otworzył.

— — «Czemu nie przyszedłeś dotąd. Cały wieczór czekałam na ciebie. Muszę cię jeszcze dziś koniecznie zobaczyć. Bura cię nie minie.

Twoja kochająca i niecierpliwa

Zofia.

Uśmiechnął się i rzucił list na stół. Jak mu to wszystko było obojętne. Żeby się tylko Zofia nie dowiedziała o niczem. Chociaż czyż

mu to mogło zaszkodzić? Zazdrość łączy bardziej niż miłość i zaręczyny.

Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że kiedy wchodził do Hani, zdjął z palca zaręczynowy pierścionek i schował do kieszeni. Jak łatwo mógł go zgubić... Dziwne, że w tem nieprzytomnem rozdrażnieniu, w jakim się znajdował, postępował z taką nieświadomą przezornością. Ten pierścionek byłby jej od razu wszystko powiedział... Chociaż kto wie, czy nie lepiejby się stało.

Wyjął z kieszeni pierścionek i włożył na palec.

Jak wspaniale błyszczał ten brylant, jak mienił się tysiącem barw...

.

...A drugi taki brylant miał w duszy, równie świecący i wspaniały... jej wspomnienie...

Nagle spostrzegł fotografię Hani i listy.

Gdyby ktoś był wszedł do mieszkania, podczas jego nieobecności... jak mógł zostawić to na biurku... co za nierozwaga...

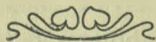
Jej listy.

Prawda, żądała, aby je spalił.

Przez chwilę myślał nad tem, później otworzył skrytkę biurka, przejrzał jeszcze raz listy i zamknął je na sztuczny zamek.

Tam nikt ich nie odnajdzie.

Nie, nie zniszczy, nie... Te listy, to jego dawna Hania, ta, którą kochał, którą kocha po dziśdzień... te listy to tajemnica czystej, dziecięcej niemal miłości... to wspomnienie święte...



SAM NĀ SAM

Szli powoli wąską drożyną, mozolnie wspinając się pod górę. Całe towarzystwo rozproszyło się po lesie, zdążając różnemi drogami do celu wycieczki. Pod bramą czerwonego klasztoru, na szczycie góry mieli się spotkać wszyscy.

Szli powoli, rozmawiając leniwo, niby od niechcienia. Chwilami ona schylała się, by zerwać leśne kwiecie, które składała w duży pęk woniejący wiosną i lasem. Kiedy niekiedy i on poskoczył w bok, aby włączyć w jej bukiet jakiś barwny kwiat, zwisający wysoko na złomie skalnym. Równocześnie rozmawiali ciągle, leniwo, przerywanemi zdaniemami.

Opowiadał jej o różnych kobietach, które spotykał na drodze swego życia, usianej troskami miłości i smutku, dwóch tyranów, które serce człowieka biorą w niewolę — jak się wyraził poetycznie i głęboko (w swem

mniemaniu); o niektórych rozkoszach i rozpaczach miłości opowiadał nawet dosyć szczegółowo, barwnie i z przejęciem. Słuchała jego słów niby obojętnie, chwilami rzucała jakieś pytanie i milkła znowu nieśmieiele, czasem nie wiedząc co powiedzieć.

— Może nie życzy sobie pani, abym mówił dalej o takich rzeczach? — zapytał. — Może zmienić temat naszej rozmowy?

— Oh, bynajmniej! Opowiada pan bardzo zajmująco.

— Więc bawi panią to, co mówię?

— Bawi?

— No tak.

— Bawi? Nie. Jest mi najzupełniej obojętne.

— Więc przestanę.

— Jak pan sobie życzy. A pana bawi?

— Dawne wspomnienia zwykle bywają miłe...

— Zatem proszę mówić dalej. Nie chcę pana pozbawiać przyjemności.

— Otóż kończę... Była to rzeczywiście niezmiernie ciekawa dziewczyna. Nieraz okazywała mi zupełną obojętność, niemal pogardę, albo wprost nie zwracała na mnie

uwagi; potem znowu rzuciła mi się na szyję i całowała mnie długo, bez pamięci..

— Jakże mogła się tak zapominać!

— No, nie miała takich skrupułów, zresztą prawdopodobnie nie rozumowała w takich wypadkach. Ot, mały przykład. Pewnego razu rzuciła mi się na szyję tuż obok salonu, gdzie siedziało liczne towarzystwo, a także jej rodzice. Drzwi były otwarte, każdej chwili mógł ktoś wejść do pokoju. Wyobraża sobie pani, coby się działo, gdyby zobaczono ją w moich ramionach. Jej oczywiście niebezpieczeństwo nawet przez myśl nie przeszło...

— Istotnie ciekawa dziewczyna; ale przede wszystkim źle wychowana. Wprost pojąć trudno.

— Zapewne. Chociaż może i nie.. Gdy Amora lotna strzała.. Dziwnie kruche bywają wówczas podstawy dobrego wychowania.

— I cóż się z nią stało?

— Wyjechała pewnego pięknego dnia z rodzicami, którzy, bardzo być może, coś podejrzewali, i tak się skończyła owa idylla miłości.

— Ach, to bardzo smutnie. Pewnie żało-

wałeś pan, tęskniłeś za nią, może jeszcze tęsknisz?

— Przeboleiałem — odpowiedział z wesołą ironią — zmogłem się, a niebawem inna już królowała w mojem sercu.

— Zapomniałeś pan? To niegodziwie.

— Więc miałem sobie życie odebrać? I to w chwili, gdy serce znów zadrgało miłością. Tę drugą prawdopodobnie zna pani nawet..

— O, nie jestem ciekawa nazwiska.

— Z nią znowu spotykałem się na cmentarzu. Nie ma pani pojęcia, jakie to idealne miejsce do schadzek.

— Jakże można..

— Ale niech pani pomyśli tylko: miłość wśród grobów, kędy zmarłych cienie się przechadzają, roztaczając troskliwą opiekę nad najpiękniejszym kwiatem życia. Nadzwyczajny temat dla naszych młodych poetów. Bajeczne nastroje, aczkolwiek, nawiasem mówiąc, nas było zawsze tylko dwoje. Otóż we dwoje przechadzaliśmy się po odległych alejach, a ten piękny kwiat życia coraz bujniej rozkwitał w naszych duszach. Chodziliśmy, trzymając się za ręce jak dzieci i rozmawialiśmy o najrozmaitszych rzeczach. Przeważna

część rozmów była poświęcona oczywiście miłości, konjugowaniu słowa: «kocham», jak to nazwał kiedyś jakiś złośliwy człowiek. Wreszcie pewnego dnia, kiedy na cmentarzu nie było żywej duszy, usta nasze zbliżyły się ku sobie; pocałowałem ją...

— To ohydne. Nie chcę, abyś pan mówił o tem... Nie, nie, to wstrętne, ohydne.

...Tak, ohydne, myślał, ale ohydniejsze jeszcze, że jej opowiadam o tem. Brutalne. Czemu to robię? Czemu taranem cynizmu burzę wyłomy w twierdzy dziewczęcego serca.

Uśmiechnął się, podobała mu się ta przenośnia. Taran cynizmu. Nadzwyczajne. Bajeczny tytuł do noweli.

Ale zaraz zachmurzył się znowu.

...Jestem brutalny, myślał. Należałoby ukryć przed tem dzieckiem wszystkie brudy i ohydę życia. Nie kalać niewinności tego czystego serca. A ja rozwijam całą ich pełnię, całą krasę. Biała gołąbka. Stanowczo jestem brutalny. Zaczynam uczuwać wstręt do samego siebie.

Ona myślała: Gdyby mama się domyśliła, o czem rozmawialiśmy. Gdyby wiedziała, że jesteśmy sam na sam. I dlaczego mówi mi

to wszystko? A taki ładny. Gdyby tak mnie chciał pocałować? Nie wiem, cobym zrobiła... Ale nie, nie.

Przez chwilę milczeli oboje. Potem on rzekł nagle:

— I jeszcze jedną znałem, ale inną jak tamte. Była bardzo piękna i bardzo, bardzo dobra. Taka biała gołąbka. Może ją nawet prawdziwie kochałem.

— Jakto? nie wiesz pan tego?

— Nie wiem. Była tak dobra. Może tylko jej dobroć tak mnie pociągała.

— A ona?

— Ona? nie wiedziała o niczem. To było dziecko, duże dziecko, o jasnych, niewinnych oczach. Nigdy nie śmiałem jej wyznać mych uczuć.

— Przecież sama nie mogła się panu oświadczyć, choćby nawet kochała pana.

— Tak pani sądzi?... Zapewne. Nie mogła mi tego sama powiedzieć... Byłoby to niezmiernie zabawne... Efekt z powieści.

— Pewnie, w życiu nie zdarza się coś podobnego. To też źle pan zrobiłeś, żeś z nią nie pomówił otwarcie. Może i ona cierpiała biedaczka.

— Może... Ale zapalasz się pani w jej obronie. Rumieńce wystąpiły na twarzyczkę. Bardzo lubię widzieć panią tak ożywioną.

— Zdaje się panu tylko — obrzuciła go bezmyślnem spojrzeniem. — Jeśli mam powiedzieć panu prawdę, nic mnie to nie obchodzi.

— O nie, widzę to dobrze. Odczuwasz pani to, co mówię, i entuzjazmujesz się. I nie dziwię się wcale; jesteś pani tak młoda...

Milczała.

— Czemu pani nic nie mówi? Zupełnie jak ona... ta dziewczyna, o której opowiadałem. Jesteś pani dziwnie do niej podobna...

Potrząsnęła głową.

— Nie z postaci — kończył — z usposobienia, z uczucia.

— Nie wierzę. Zdaje się panu. I nie mówmy już więcej o tem.

— Dlaczego? — zawahał się na chwilę.

...Czuje, że o niej myślałem. Niewątpliwie kocha się we mnie. Biała gołąbka.

— Zresztą nie mówmy, skoro sobie pani tego życzy.

Zamilkli oboje i znowu wspinali się pod górę. Droga była coraz uciążliwsza. Wielkie

kamienie kładły się w poprzek ścieżki, trzeba było wdrapywać się na nie, aby iść dalej.

Ledwie mogła iść w górę. Nagle ośliznęła się jej noga; byłaby upadła, gdyby jej nie był podtrzymał.

— Proszę dać rękę. Poprowadzę panią.

— Nie, nie, dziękuję, pójdę sama.

— Ależ upadnie pani.

— Nic mi się nie stanie.

Mimo oporu otoczył ją ramieniem i pomagał jej wspinać się pod górę.

— Niech się pan nie trudzi. Dziękuję. Tu już równiej.

Ale nie wydzierala mu się z rąk. Sprawiało jej to pewną przyjemność, że ją prowadzi.

...On taki ładny, myślała. Ciekawą jestem, czy i z tamtymi tak chodził... I gdyby mnie teraz pocałował... Chociaż nie, nie pozwoliłabym teraz... nie... Gdyby nie był o tamtych mówił... Nie, głupstwo, mama mogłaby się dowiedzieć...

Szli w milczeniu.

...O, teraz przyciska miękko moją rękę do swojej piersi. To jednak musi być bardzo przyjemnie... Ale gotówby pomyśleć, że jestem taka sama, jak tamte...

On myślał: Nie mogę wątpić, że mnie kocha. Mimo wszystko, co mówiłem o tamtych. Dziwna, jak mało takie młode dziewczęta są zazdrosne o przeszłość... Chociażby nawet wiedziały o niej... A ja szaleję, gdy pomyślę tylko, że kobieta mogłaby mnie zdradzić... Czy istotnie. Zdaje mi się, że jest w tem nieco przesady, że właściwie nie sprawiłoby mi to znowu tak wielkiej przykrości...

...Pomyliłam się. Ani nie myśli mnie całować... Szkoda... Gdyby tak raz, ale tylko raz, więcej nie pozwoliłabym stanowczo...

On myślał: Świadomość, że posiadam jej miłość, jest rozkoszniejszą od pocałunku. Ta myśl, że dusza jej należy do mnie w tej chwili, że jestem treścią jej istoty, że nikt nie ma do niej prawa prócz mnie samego... Nie trzeba brutalnie kalać tej chwili. Pocałunek zbrudziłby jej duszę, duszę, która do mnie należy. A jak cudnie piękna jest w tem pragnieniu...

— Tak. Ta dziewczynka była podobna do pani — rzekł nagle. — I nie śmiałem jej powiedzieć, że ją kocham.

— Ale przypuśćmy, że ona sama powiedziałaby to panu?...

...Zgoła nieprzewidziany efekt. Gotowa wyznać mi swą miłość. A przecież do tego bynajmniej nie dążyłem. Niema co, zadaleko doprowadziłem sprawę.

— Tak pani sądzi? Istotnie, gdyby się stało coś podobnego, nie wiem, jakbym postąpił. Może przestałbym ją kochać, bo mowa jest za brutalna, aby wyrazić takie najszybsze uczucie duszy, aby wyśpiewać pieśń taką. A musiałyby to powiedzieć brutalnie. I właśnie wtedy zabiłaby miłość we mnie. Stokroć lepiej, że nie powiedziała tego...

...Tam w górze widać już klasztor... A on ciągle opowiada o tamtej... Czyż doprawdy nie rozumie, że się nie zgniewam, gdyby...

— To zupełnie dziwne, co pan mówi. Nie pojmuję, dlaczego miałoby być gorzej?

— Zapewne, pani za młoda jeszcze, pani nie może odczuwać tych największych subtelności zakochanej duszy ludzkiej...

— Mówi pan, że młoda, a myśli pan, że jestem głupia. A właśnie przekonam pana, że tak nie jest. Bo gdybym ja była na miejscu pana, wiedziałabym, co zrobić...

...Teraz chyba zrozumie...

— Tłumaczy pani zupełnie fałszywie moje

słowa, aby mi dokuczać. Jakże śmiałym nawet pomyśleć coś podobnego?

— No, dajmy pokój komplementom. Oczywiście nie przyzna się pan do tego, co pan o mnie myśli...

— Przeciwnie, gotów jestem powiedzieć każdej chwili. Uważam panią za... białą gołąbkę... Jest pani piękna, jest pani dobra; niema ofiary, którejbym dla pani nie spełnił.

— Znowu komplementy... Zresztą nie mówmy w tej chwili o mnie, lecz o tamtej... no tamtej, którą podobno znam, jak pan twierdzi.

— Tego bynajmniej nie twierdzę.

— I na to zgoda. Więc mówmy o tej, której nie znam, a którą pan kocha...

— Tego nie wiem.

— Nudny pan jesteś. Ciągłe powtarzasz w kółko to samo... Pomińmy już kwestyę znajomości. O co innego chodzi... Przypuszczasz pan, że pana kochała. Przepraszam! Już wiem, co pan powie... Oczywiście nie mogła się panu oświadczyć. Ale pan...

— Ja? Cóż ja mogłem zrobić?

— Co? Ano choćby i to, o czym pan ciągle mówi. Czemuż nie użyłeś pan tej swo-

jej stałej metody? Czemu nie zbliżyły się wasze usta, jak to pan powiedziałeś?...

...Umyślnie chyba nie chce zrozumieć...
A szkoda... On taki ładny...

— Czemu tego nie uczyniłem? I pani się o to pyta?

— Bo tego doprawdy pojąć nie mogę.

...Chyba teraz...

— Bałem się ją obrazić.

— Obrazić? Jakto?

— Tak, obrazić dotknięciem ust to dziecko, tę moją białą gołąbkę.

...Albo się naprawdę boi, albo głupi...

On myślał: Jestem właściwie strasznym kabotynem. Lubuję się we frazesach i w imponowaniu samemu sobie. Nie całuję jej, choć pragnę tego, choć sama narzuca mi się każdym słowem. I wszystko tylko dlatego, aby mój grać przed sobą komedię. Aby mój wmówić w siebie szlachetność i subtelność uczuć, których naprawdę niema we mnie wcale... Niema!... To bolesne... Ale zato jest dziwna przyjemność imponowania samemu sobie... przeczuleniem miłości i umiłowaniem subtelnych wrażeń. Przyjemność... Ale gdy się ma świadomość kabotynizmu?...

Tak, nie zawsze jest miło znać samego siebie...

...Niegodziwy człowiek... Najpierw opowiada takie rzeczy, a potem...

...Ciekawym, co ona o mnie myśli?...

— Pani milczy? Nudzi się pani zapewne?

— Nie, bynajmniej.

— Czy doprawdy? A może pani smutna, może tęskni pani za czymś nieznanem, a upragnionem?

— Myli się pan. Jestem bardzo zadowolona i bardzo szczęśliwa.

...Może przypuszcza, że za nim tęsknię? zabawny. Byłoby też za czem. Chociaż nie można zaprzeczyć, że jest ładny i miły.

— A jednak czasem człowiekowi wydaje się tylko, że jest szczęśliwy. Niech pani dobrze spojrzy w siebie. Może nurtuje tam jakiś smutek, jakaś tęsknota.

— Tęsknota? — szepnęła, bezmyślnie powtarzając jego słowo.

— Więc widzi pani. Wszak mówi pani sama o tęsknocie.

— Ja? Zdawało się panu. Za czemże to miałabym tęsknić?

— Któż to może wiedzieć. Każdy czło-

wiek ma swojego mola, jak to mówią — dostał wesoło. — Jeden się kocha, inny cierpi...

— Możesz pan być pewny, że się nie kocham. A więc i cierpienie miłosne odpada, bo o tem oczywiście myślałeś.

— A gdybym powiedział pani, że umiem czytać w jej niewinnej duszy...

— Zabawna zarozumiałość.

— Proszę nie żartować, ja mówię całkiem seryo.

— Co się panu zresztą bardzo rzadko zdarza — odparła złośliwie.

— O pani, taki zarzut...

...Jakich wybiegów używa, aby ukryć swą miłość ku mnie. Doprawdy rozczulające...

— Nie o to mi chodzi. Powiedz pan raczej, co zobaczyłeś w mej duszy?

— Czy pani istotnie żąda odpowiedzi seryo?

— Ależ bardzo o nią proszę. Więc cóż pan ujrzałeś?

— Miłość!

— Ha, ha!

— To wcale nie śmieszne.

...Jednak to ciekawy człowiek. Skąd on się domyślił, że... A gdyby tak teraz nagle

pochwycił ją w objęcia, przytulił do piersi i zaczął całować...

Przeraziła się tej myśli i gwałtownie wyrwała mu rękę.

— Nie... nie... dziękuję panu... pójdę już sama... tu już zupełnie dobrze.

...Broni się przed pieśszczotą, mimo że jej pożąda. Nadzwyczajne.

— Zresztą mógłby nas kto zobaczyć...

...Wymówka... Lubię kobiety odporne, które trzeba przemocą zdobywać. Nigdy jeszcze nie była mi tak drogą, jak w tej chwili.

— Bo chociaż tamte, o których pan opowiadałeś, nie zwracały na to uwagi, to jednak ja nie życzę sobie wcale, aby mnie ktoś zobaczył, idącą z panem pod rękę — kończyła z wyraźną ironią.

...Przecież mu dokuczy...

On myślał: Zazdrość dręczy jej serce, biedna dziewczyna.

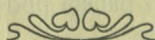
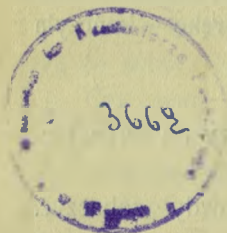
...Mama mogłaby doprawdy zobaczyć. Tam w lesie co innego...

* * *

Czerwone mury klasztoru okazałe błysnęły wśród drzew. U stóp ich wesołe towarzystwo rozłożyło się taborem.

... A jednak szkoda, że on taki głupi. Mógł mnie przecież pocałować... Szkoda... Szkoda...

... Niewolnica legła u stóp moich, zebrząc miłości. Biała gołąbka, drżąca pragnieniem pieśczoły i trwogą drżąca... Czemu nie wypiłem słodyczy z tych warg purpurowych... Czemu nie zgmiotłem w uścisku jej młodego, woniejącego ciała... Jestem kabotynem i komedyantem... Chwila szczęścia minęła bezpowrotnie.



4642

SPIS RZECZY.



	Str.
Okno naprzeciw	1
Upiór	31
Moczar	93
Wspomnienie	99
Sam na sam	153



